

● WYWIAD Z R. BUGAJEM ● W SPRAWIE B. BIERUTA ● „ZIELONE  
PUŁAWY ...” ● „BALLADA O MARIUSZU” ● STALIN NA SCENIE ●  
● KUROPATY ● KATYŃ ● „BIAŁE PLAMY” ● LISTY - POLEMIKI ●

TYGODNIK  
WSCHODNI

# relacje

LUBLIN, 23 - 29 III 1989 R.

NR 10

CENA 50 ZŁ



Fot. Waldemar Stępień

WSZYSTKIEGO  
NORMALNEGO  
W ŚWIĘTA  
I NA CO DZIEN  
ŻYCZA  
relacje

**NIEMOŻLIWE JEST PRZEKSZTAŁCENIE GOSPODARKI KOMUNISTYCZNEJ  
BEZ DEMOKRATYZACJI SYSTEMU POLITYCZNEGO**

## WIELKA NIEWIADOMA

Rozmowa z Ryszardem Bugajem

— Czy gospodarka socjalistyczna jest reformowalna?

— Fakt, że w ramach okrągłego stołu dyskutujemy wiele problemów ekonomicznych, wskazuje na naszą wiarę. Ta gospodarka się jednak zmieniała, choć w sposób żywiołowy i pod wpływem bardzo różnych czynników i zdarzeń. Dotychczasowe doświadczenia nie pozwalają jednoznacznie stwierdzić, że głębokie reformy nie są w PRL możliwe, choć się dotąd nie udawały.

— Jaka jest zatem pańska koncepcja zmian?

— Każdy, kto zajmuje się gospodarką, kształtuje swoje poglądy nie tylko w oparciu o profesjonalną wiedzę, ale powinien także uwzględniać istniejący stan gospodarki. Zawsze duże znaczenie ma również wyznawany system wartości. Spójne, racjonalne stanowisko — to nie mogą być gotowe recepty na jutro, na szóstą rano. Ważne jest obranie właściwego kierunku przekształceń, wytypowanie tego, co konieczne, aby uruchomić proces zmian. Główna trudność polega na przełożeniu wielkich celów na szarą rzeczy-

wistość. Generalne moje postulaty to: pluralistyczna struktura własnościowa w gospodarce, działanie praw rynkowych, system samorządowy oraz demokracja polityczna. Jest to stanowisko, które określa się nieraz jako opcję socjaldemokratyczną, choć terminologia nie jest najważniejsza. Podziela je chyba większość środowisk opozycyjnych i niewielka część establishmentu.

— Powiada pan: opcja socjaldemokratyczna. Należy wnosić, że istnieją również koncepcje alternatywne?

— Tak. W ostatnim okresie rośnie liczba zwolenników opcji określanej jako liberalna. W tej wersji odrzuca się samorząd, kwestionuje konieczność demokracji politycznej i jej przydatność dla reform ekonomicznych. Postulat wielości form własności przeraża się w ideę globalnej prywatyzacji. Istnieje, jak sądzę, rządowa wersja tej opcji. Dyrektorzy przedsiębiorstw, dobrze opłacani, oczywiście nomenklaturowi, mają być spiritus movens całego przedsięwzięcia. Wielkie znaczenie odgrywa tu stereotypowy pogląd, że jednostkowe bodźce, skierowane na pracownika, są kluczem do gospodarczego sukcesu. Ignoruje się fakt, że nie tylko indywidualne zachowania pracownika decydują o efektach ekonomicznych, ale także — a raczej,

Dokończenie na str. 2—3

## relacje ZE ŚWIATA

■ NA ZACUMOWANYM w Murmańsku lodolamaczu atomowym „Rossija” miała miejsce awaria. Z opisu zamieszczonego w radzieckiej gazecie „Wodnyj Transport” wynika, że groziła prawdziwa katastrofa nuklearna.

Na skutek protestów mieszkańców Władystoku władze tego miasta nie udzieliły zgody na wejście do portu radzieckiego kontenerowca o napędzie atomowym. Po dziesięciodniowym postoju statek rozładowano na redzie.

■ RADIO GRODNO rozpoczęło nadawanie audycji w języku polskim.

■ KOMISJA PRAW CZŁOWIEKA Organizacji Narodów Zjednoczonych w rezolucji wyraziła zaniepokojenie „donesieniami w sprawie poważnych naruszeń praw człowieka i podstawowych swobód w Rumunii”; postuluje też przeprowadzenie w tej sprawie specjalnego dochodzenia.

■ STAWCE NAJWIĘKSZYCH EKSPORTERÓW (dane za ubiegły rok) przewożą: RFN (wartość 323 mld dol., co stanowi 11,4 proc. światowego eksportu), USA (322 mld dol.), Japonia

(265 mld dol.), Francja (168 mld), W. Brytania (144 mld), Włochy (129 mld), Kanada (115 mld) i ZSRR (112 mld).

■ W BUDAPESZCIE powstała nowa niezależna, demokratyczna organizacja — Związek Węgierskich Byłych Więźniów Politycznych. Na razie liczy on 300 osób, jednak — zdaniem przywódców — w przyszłości może ich być nawet 60—80 tys.

■ IMAM CHOMEINI pozostał samotny w swej krucjacie przeciwko Salmanowi Rushdie i jego powieści „Szatańskie wersety”. Inne kraje arabskie odcięły się od „wyroku śmierci” wydanego na pisarza przez szycyjskiego przywódcę. OWP zarzuciła Chomeinemu wręcz celowe odwracanie uwagi świata arabskiego od problemu powstania państwa palestyńskiego. Pisarz pozostaje nadal w ukryciu. Zdaniem prasy zachodniemieckiej, w... Szwajcarii. (I)

■ POLACY NA UKRAINIE powołali swoje towarzystwo także w Kijowie. Jak dowiedzieliśmy się w Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowym

UMCS, 25 lutego br. zostało zarejestrowane Polskie Towarzystwo Kulturalne im. Adama Mickiewicza. W planach — kultywowanie narodowej historii, tradycji, języka i kultury. Formy działania przewidują uruchamianie oddziałów terenowych. W sytuacji ewidentnego renesansu polskości na Ukrainie, w Litwie, Łotwie, Estonii i Białorusi sprawą dużej wagi wydaje się koordynacja działań powstających tam organizacji polonijnych. (I)

■ W PŁOWDIW — według informacji prasy zachodniej — powstał pierwszy w Bułgarii niezależny związek zawodowy zrzeszający intelektualistów i artystów.

■ PÓLTORA MILIONA obywateli NRD pragnie wyemigrować do RFN. Dane te podał Federalny Urząd Informacji.

■ „NIE MA SENSU nadal nie przyznawać się do błędów, jakie kiedyś popełniliśmy, zakładając, że w socjalistycznym systemie prostytucja nie trafi na właściwy grunt i sama zniknie” — pisze bratysławska „Prawda”. Mimo że proceder ten zaliczany jest przez czechosłowackie prawo do czynów karalnych, w Bratysławie funkcjonuje ok. 2000 prostytutek. Ich zarobki w skali miesiąca wynoszą: w Bratysławie 20—25 tys. koron, w Pradze — ok. 30 tys. koron.

■ DOBRE WIEŚCI ZNAD BAŁTYKU. Po głębokiej, trwającej 6 lat recesji w żegludze międzynarodowej nastąpiły już lata tłuste. Stawki frachtowe wzrastają aż o ok. 30 proc., czego ani w Polskiej Żegludzie Morskiej (Szczecin) ani w Polskich Liniach Oceanicznych (Gdynia) nie przewidywano nawet w najśmielszych marzeniach. A jeszcze niedawno w kołach rządowych rozważano wyprzedaż polskich statków.

Przy okazji: pływający w barwach PLO ms „Lublin II” odbywa swoją siódmą podróż. Jak i dotąd, celem są porty Ameryki Płd., jednak — po raz pierwszy — położone na zachodnim wybrzeżu kontynentu.

■ ANDRZEJ ŁAPICKI: — „Teatr w pogoni za dochodami zaczyna pełnić rolę zabawiacza publiczności. Martwi mnie obecne oblicze niektórych teatrów, które miały dobrą pozycję, a teraz wypelniają wieczory musicalami, występami piosenkarskimi. Czy taka jest rola teatru dramatycznego?”

Próby zawiązywania prywatnych spółek teatralnych nazywa Łapicki „działalnością awanturniczą”, jako że — jego zdaniem — podstawowym motywem są tu duże dochody.

Woli Ossowińskiej (woj. lubelskie), jury — pod wodzą Bogdana Smolenia — przyznało trzecie miejsce.

■ LUBELSKA FUNDACJA OCHRONY ŚRODOWISKA NATURALNEGO zwróciła się do kilkuset zakładów i przedsiębiorstw o wsparcie zamierzanych działań, w tym budowy w Lublinie kompostowni oraz spalarni śmieci. Pierwsze wpłaty zadeklarowali: Wytwórnia Tytoniu Przemysłowego — 10 tys. dolarów (ponadto 10 mln zł na rewaloryzację Starego Miasta i 3 mln zł na budowę ośrodka opieki dziennej dla dzieci specjalnej troski) oraz PZ Hansseatic i Agrohansa — 20 tys. dolarów.

■ TEATR STUDYJNY, po wymówieniu mu przez Ośrodek Sztuki Estradowej sceny przy al. Świerczewskiego, zyskał zrozumienie i pomoc w Teatrze Łalki i Aktora. Tam właśnie dał już swój recital Serge Kerval, uważany za największego poetę piosenki francuskiej. Natomiast — uwaga!, to warto zapamiętać — 28 i 29 marca w T. Łalki i Aktora wystąpił dobrej sławy Divadlo na Provazku z Brna (Czechosłowacja). Gwiazdą tego zespołu jest „biały kłown”, wirtuoz pantomimy, Bolesław Polivka. W jego wykonaniu zobaczymy „Rozbitka”, zaś w „Nie jestem swoim psem” wystąpi J. Pecha.

■ MARIA KUNCEWICZOWA przyjęła w swoim domu w Kazimierzu nad Wisłą rektora UMCS prof. dr. hab. Zdzisława Cackowskiego. Podczas spotkania szef lubelskiej uczelni złożył piosence propozycję przyjęcia doktoratu honoris causa UMCS jako wyrazu najwyższego uznania społeczności akademickiej dla twórczości literackiej i życiowej postawy pani Marii. 90-letnia piosenka przyjęła ofertę, co pozwoliło na uruchomienie procedury formalnej nadania tytułu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uroczystość wręczenia doktoratu nastąpi w maju br. Rektor Cackowski nie ukrywał, że idea takiego właśnie uhonorowania wybitnej twórczyni kultury polskiej zrodziła się podczas spotkania władz UMCS z kierownictwem „Relacji”. (I)

Oprac. Zbigniew Miazga

28 LUTEGO br. Wojewódzki Zespół Poselski w Lublinie skierował do Prezydium Sejmu PRL wniosek o powołanie nadzwyczajnej komisji do oceny działalności państwowej Bolesława Bieruta. Pełny tekst tego wniosku publikujemy poniżej. O skomentowanie motywów, jakimi kierowali się lubelscy posłowie wnosząc tę sprawę, poprosiliśmy przewodniczącego Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego, I sekretarza KW PZPR w Lublinie — Andrzeja Szpringera, który powiedział:

„Wniosek nasz trzeba widzieć jako fragment większej całości. Jeśli przyjął, że posłowie ze swej powinności mają obowiązek artykułowania różnych spraw frapujących mieszkańców regionu, województwa, to wniosek skierowany do Prezydium Sejmu jest taką właśnie artikulacją. Sprawę tę trzeba osadzić w realiach przemian politycznych i historycznych zachodzących w naszym kraju, w ujawnianiu stanowisk różnych środowisk i orientacji.

Sądzę, że trzeba wskazać na ciągłą linię wiodącą wprost, acz nie bez komplikacji, od IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, gdzie zademonstrowano chęć i wolę przemieniania się partii. Znalazło to wyraz m. in. w raporcie komisji prof. Kubiaka o przyczynach kryzysów politycznych w Polsce. Należy dokończyć wszechstron-

Dokończenie ze str. 1

przede wszystkim — sprawność systemu. Ideologicznym znakiem tego podjęcia jest: rynek i silna policja.

— A inne?

— Jest jeszcze opcja nie reformowania, lecz konserwacji tradycyjnego porządku komunistycznego. Reprezentują ją — nie mówiąc tego wprost — neozwyczwolowcy i chyba większość aparatu władzy. Ich reformatorskość sprowadza się do ogólnikowych hasel o konieczności posiadania dobrego rynku, zapewnienia pólek, ochrony interesów ludzi pracy itp. Domagają się wywłaszczeniowych podatków w stosunku do sektora nie uspołecznionego. „Praca — twierdzą natomiast — powinna mieć autentyczną wartość”. Na jednym z ostatnich posiedzeń naszego „stolika” wiceprzewodniczący OPZZ — pan W. Martyniuk — oskarżał nas, na przykład, o sojusz z rządem, wyprzedaż interesów robotników, pomijanie „problemów ludzi pracy” itd. W ogóle silnie przejawia się w tym środowisku „Janosiłkowa ekonomia”.

Podkreślić jednak trzeba, że obecnie w kwestiach rozwiązań ekonomicznych linie podziału niekoniecznie pokrywają się z podziałami politycznymi. Zwłaszcza jeśli chodzi o pierwszą i drugą orientację, to za każdą opowiada się pewna część opozycji i pewna część ludzi obozu władzy. Jeśli uwzględnić „czysto” ekonomiczne zagadnienia.

— Wróćmy jeszcze do pańskiej wizji przyszłości

— Nie ukrywam, że orientacji „socjaldemokratycznej” bronie ze względu na moje założenia aksjologiczne, lecz sądzę, że potrafia uzasadnić ten wybór argumentami ekonomicznymi. Nie wiem, jaka będzie nasza gospodarka za lat 50, ale wiem, że zmiany muszą rozpocząć się od przyjęcia założeń programu „socjaldemokratycznego”. Dlaczego tak uważam? Spróbuję odpowiedzieć poprzez wyodrębnienie tego, co w przedstawianych postulatach jest rezultatem wnioskowania czysto profesjonalnego.

Otóż po pierwsze, rynek. Choć nie ma jednoznacznych przesłanek do odpowiedzi, jak wiele mechanizmów rynkowych można przenieść z gospodarki zachodniej do gospodarki nieprywatnej, to jest rzeczą oczywistą, że jeśli mechanizmy rynkowe nie będą decydowały, gospodarka nie będzie sprawna. Wykazują to wyraźnie doświadczenia historyczne i dorobek teoretyczny ekonomii.

Po drugie, problem wyboru form własności. Opowiadam się za pluralizmem własności w gospodarce i za ewolucyjnymi przekształceniami tych form właśnie dlatego, że na gruncie teorii ekonomii nie ma jednoznacznego rozstrzygnięcia, że tylko gospodar-

## relacje Z KRAJU

■ W CZWARTEK, 23 marca, powinny zakończyć prace zespoły i podzespoły „okrągłego stołu”. Powstające właśnie protokoły porozumień i rozbieżności przedstawione zostaną 3 kwietnia na zebraniu plenarnym.

Coraz częściej pojawiać się zaczynają pytania: i co dalej? na ile porozumienia te zostaną przyjęte i będą respektowane przez społeczeństwo?

Wyniki „okrągłego stołu” analizowane będą m.in. przez Komitet Centralny PZPR i gremium funkcjonujące przy Lechu Wałęsie.

■ TRWAJĄ PRACE nad uzdrowieniem służby zdrowia. Rozpoczęto między innymi przygotowania do tworzenia tzw. ośrodków szybkiej diagnostyki medycznej. Szybsza diagnoza oznacza także krótszy pobyt pacjenta w szpitalu. Przy skróceniu pobytu chorego o jeden dzień można wygospodarować dwadzieścia tysięcy wolnych łóżek w szpitalach w ciągu jednego roku.

■ POLSKIE ROLNICTWO otrzyma w bieżącym roku ok. 250 samochodów star 29 i prawie 300 starów 660 wycofanych z wojska, a także: żuki, nysy i ruchome warsztaty samochodowe.

■ PIERWSZYMI KSIĄŻKAMI O ZBRODNI KATYŃSKIEJ, oficjalnie wydanymi w Polsce, będą: „Epitafia oficerów polskich pochowanych w Katyńiu” oraz Czesława Madajczyka „Dramat katyński” (relacje i przekazy, a także dokumenty z archiwów angielskich, niemieckich, polskich i radzieckich).

■ POWIEŚĆ Tadeusza Konwickiego „Mała Apokalipsa”, do niedawna jeszcze uznawana za niecenzuralną, ukazała się w wydawnictwie „Alfa”. Jej wersję kinową zapowiedział znany reżyser Costa-Gavras; zdjęcia — jeszcze w tym roku — rozpoczną się we Francji.

## relacje Z REGIONU

■ EKIPY Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego wybudują w Erewanie poliklinikę. Będzie to dar Polski dla dotkniętego kataklizmem narodu armeńskiego.

■ W LUBLINIE zarejestrowano dwie organizacje studenckie. Pierwsza to Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Unia Młodych”, której celem jest pomoc w osiągnięciu pełnej dojrzałości chrześcijańskiej i obywatelskiej. Druga zaś — Wszechnica Weterynaryjna, która zamierza podnosić poziom wiedzy i etyki zawodowej.

■ DYREKCJA lubelskiego Domu Towarowego „Centrum”, nie mogąc zapłacić pólek, część obiektu przekazała agentom. Ci, przyczekają sprowadzenie efektywnej (ale niebezpiecznej) produkcji „Galluxu”, „Telimeny”, „Dany”. Dolary natomiast wydawać będzie można u „pewexowskiej” konkurencji, handlującej odzieżą, elektroniką i sprzętem gospodarstwa domowego.

■ KAZIMIERSKI KAMIENIOŁOM, eksploatowany od początku naszego stulecia, zostanie zamknięty (30 czerwca br.), a na jego terenie posadzone zostaną krzewy i drzewa. Taką decyzję podjęli: wojewódzki konserwator przyrody oraz dyrekcja Kazimierskiego Parku Krajobrazowego, argumentując, że prowadzone tam prace powodują degradację unikalnego środowiska naturalnego. Kamień — głównie na potrzeby regulacji Wisły — dobywany będzie w Piotrowinie i Nasilowie.

■ ROZSTRZYGNIĘTY został konkurs literacki im. Józefa Czechowicza. Jury w składzie: prof. Lech Ludorowski, dr Alina Kochańczyk, Bohdan Zadura, postanowiło I nagrody nie przyznawać. Nagrodę II stopnia otrzymał ks. Andrzej Wierciński z Nałęczowa za tom „Nie wyschnie ta woda”, natomiast nagroda III stopnia przyznana została Edzie Ostrowskiej z Lublina za zbiory „Tajemnica I bolesna” i „Małmazja”. Wyróżnienia otrzymali: Urszula Gier-

szon z Lublina, ks. Krzysztof Guzowski z Krasnobrodu i Waldemar Michalski z Lublina.

■ WYDAWNICTWO LUBELSKIE zapowiada edycję 14 tomów prozy Marii Kuncewiczowej i 5 tomów Jerzego Kuncewicza. Książki te znajdują się na półkach księgarskich w latach 1989—91.

■ W LUBLINIE powstał — pierwszy w Polsce — oddział Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, którego celem, jak głosi statut, „jest rozwijanie i upowszechnianie badań z dziedziny heraldyki jako nauki historycznej (...) oraz reprezentowanie i zrzeszanie ogółu polskich badaczy i miłośników”. Funkcję prezesa powierzono dr. Piotrowi Dymmlowi, historykowi z UMCS.

Lubelscy heraldycy wydali już opinię na temat flagi Lublina (powinna ona być biało-czerwona z zielonym klinem przy drzewcu), zorganizowali prelekcję na temat godła Jagiellonów; planują sesję naukową poświęconą fryzowi heraldycznemu (74 herby znamienitych rodów polskich) znajdującemu się w puławskim Domu Gotyckim.

■ NAVA ZUCKERMAN, dyrektor artystyczny izraelskiego teatru TMUNA, podczas pobytu w Lublinie (rejestrowanego przez ekipę telewizyjną z Tel Awiwu) poprowadziła warsztat teatralny z aktorami Grupy Chwilowej, zainteresowała się Teatrem Starym, w którym występowała znakomita aktorka żydowska Ida Kamińska, przyrzekła także uczestnictwo swojego zespołu w tegorocznej lubelskiej „Jesieni teatralnej”.

■ LAUREATAMI odbywającego się w Chełmie VI Ogólnopolskiego Spotkania Kabaretów Wiejskich (uczestniczyło 12 zespołów, wyłonionych z 30, które zgłosiły się do eliminacji) zostały: „Miećka” z Fryszta (woj. rzeszowski) i „Żądło” z Biskupca (woj. olsztyńskie). Jedyne reprezentantowi naszego regionu, kabaretowi „Sek” z

# W SPRAWIE BIERUTA

nej analizy zjawisk zachodzących wokół linii walki i porozumienia. Partia parokrotnie demonstrowała wolę przewyciężenia własnych słabości i błędów.

Myślę, że wniosek Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego, osadzony w tych realiach, nie może być przez nikogo zdrowo myślącego kwestionowany. Zwracamy się do Prezydium Sejmu o powołanie komisji do zbadania państwowej działalności Bolesława Bieruta. Działalność ta wzbudza wiele emocji, rozmaite reakcje, oparte o różne, często sprzeczne, informacje. Sprawa ta nie ma jednak w żadnym razie charakteru lokalnego, lecz ogólnopolski. Z tego też powodu jedynie bardzo obiektywne i rzetelne zbadanie sprawy przez komisję profesjonalną może dać odpowiedź miarodajną na różne wątpliwości związane z osobą byłego prezydenta Bolesława Bieruta. Powiedziałbym, że ten problem wymaga chłodnego wejrzenia przez »szkielko i oko«.

(wil)

Prezydium Sejmu PRL  
Warszawa

## WNIOSEK

Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego w Lublinie w sprawie powołania przez Sejm PRL nadzwyczajnej komisji do oceny działalności państwowej Bolesława Bieruta.

Trwająca szeroka dyskusja oraz mnogość różnorodnych polemicznych publikacji zawierających próby oceny „okresu stalinizmu” w tym ludzi zajmujących w tym czasie węzłowe stanowiska w aparacie partyjnym, państwowym i administracyjnym, wywołały na tym tle wzmożone zainteresowanie społeczne i ożywienie publikatorskie dotyczące osoby Bolesława Bieruta.

Narastają różnorodnie publikacje w prasie centralnej i lokalnej, podejmujące fragmentarycznie problematykę zwłaszcza powojennej działalności Bieruta i jej następstw. Wywołuje to silną rzecz jasną skrajnych odczuć i ocen społecznych, gdyż ich autorzy, opierając swoje wywody i osądy na niekompletnych informacjach, nie mo-

gą dać podstaw do dogłębnych, zobiektywizowanych wartościowań.

Temat: Bierut, jego rola i odpowiedzialność za różne niepowodzenia kraju i dramaty osobiste Polaków jest podejmowany i dyskutowany w różnych środowiskach i z różnymi emocjami, brak jest bowiem kompleksowej wiedzy historycznej i oficjalnych ocen w tym względzie.

Poddaje się zatem w wątpliwość celowość utrzymywania, noszących jego imię, nazw ulic, placów i osiedli czy zakładów pracy. Rażą niektórych pomniki i tablice pamiątkowe. Nie brak jest także odczuć i opinii przeciwnych doszukiwaniu się jakichś „cieni” w życiu i działalności Bieruta. Zauważamy to w naszym województwie, gdyż stąd się Bierut wywodził i tutaj pozostało wiele upamiętnień jego osoby.

Napływają indywidualne listy do Miejskiej Rady Narodowej i Prezydenta Miasta Lublina, zawierające krytyczne uwagi, pytania i wątpliwości, dotyczące postawy Bolesława Bieruta w okresie sprawowania przez niego naj-

wyższych funkcji państwowych i partyjnych, oraz konkretne wnioski np. o zburzenie pomnika w Lublinie. Z zamiarem zmiany imienia Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie nosi się kolektyw społeczno-polityczny tej Fabryki, co znalazło wyraz w stanowisku Samorządu Pracowniczego i Egzekutywy Komitetu Zakładowego PZPR.

Chociażby te przykłady świadczyły, że w aktualnej atmosferze społeczno-politycznej tematu tego nie można dłużej pozostawiać otwartym.

Dlatego też, mając na względzie potrzebę pilnego udzielenia społeczeństwu odpowiedzi na postawione już publicznie pytanie „Czy Bierut był polskim Stalinem?”, wnosimy w imieniu Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego o powołanie nadzwyczajnej komisji sejmowej, która bez emocji, ale w oparciu o fakty historyczne i milczące dotychczas archiwa przedstawiłaby dogłębną, pełną politycznego realizmu, a tym samym sprawiedliwą ocenę działalności Bolesława Bieruta.

W imieniu WZP w Lublinie  
przewodniczący  
Wojewódzkiego Zespołu  
Poselskiego w Lublinie  
mgr Andrzej Szpringer  
poseł na Sejm PRL

ka prywatna może być sprawna. Postulat totalnej prywatyzacji to wybór ideologiczny. Można natomiast dowiedzieć, że nie istnieje w praktyce żadna rozsądna metoda globalnej i szybkiej prywatyzacji. Moim więc zdaniem, w istocie rzeczy, formuła ewolucyjna nie ma żadnej konkurencyjnej alternatywy.

Uważam także, że istnieją profesjonalne argumenty, iż niemożliwe jest przekształcenie gospodarki komunistycznej bez demokratyzacji systemu politycznego. Chodzi nie tyle o dorobek myśli ekonomicznej, ile o sekcjologię stosunków gospodarczych.

— Dwie sprawy nie budzą chyba wątpliwości. Zaletą samorządu jest stworzenie szansy współdziałania pracowników z kierownictwami zakładów. Daje to nadzieję na przewyciężenie zawsze szkodliwego dualizmu własności i pracy najemnej. Z drugiej jednak strony, samorząd nie może być wyposażony w cały komplet uprawnień „własnościowych”. Państwo musi więc mieć w gospodarce szersze uprawnienia, niż ma to miejsce we współczesnych państwach zachodnich. Nie ma, co prawda, jednoznacznych doświadczeń, na których podstawie można by

— Można by w tym momencie pomyśleć, że „Solidarność” prezentuje stanowisko bardziej socjalistyczne od rządu?

— Nie wiem, czym jest „socjalizm” rządu, ale jest faktem, że minister Wilczek, na przykład w czasie obrad naszego stolika zarzucał nam lewicowe sympatie. Nie bez pewnej satysfakcji obserwowałem w tym momencie twarz przewodniczącego komisji — pana prof. W. Baki, wyraźnie tą sytuacją skonsternowanego.

rialnie, a jednocześnie uzależnieni od „góry”, dyrektorzy będą postrzegani jako plenipotenci rządu. Poza tym obawiam się, że dalsze zwiększenie różnic w dochodach (czego domaga się rząd), które i tak już są wielkie, doprowadzi do zderzenia z powolnie narastającą falą nastrojów egalitarnych.

Nie bardzo też widzę, jak rząd, jeśli utrzymana będzie formuła głębokiego interwencji, będzie zdolny do prowadzenia w sposób racjonalny polityki gospodarczej, skoro już teraz nie brak symptomów szybkiego podejmowania wątpliwych i błędnych decyzji.

— Mówi pan o stoczni?

— Nie tylko. Uważam po prostu, że nie ma żadnych powodów, aby sądzić, iż obecny rząd jest bardziej kompetentny niż ekipa prof. Sadowskiego, ale zamierza interweniować na szerokiej skali.

— Chciał pan chyba powiedzieć — ekipa Messnera?

— Nie. I żeby skończyć: racjonalność polityki gospodarczej można uzyskać tylko poprzez skonstruowanie mechanizmów podaży alternatywnych koncepcji i mechanizmów ich selekcjonowania. Dyskutujemy przy okrągłym stole sprawę powołania Komisji Porozumiewawczej ds. Gospodarki, pomysłu prof. Trzeciakowskiego, która miałaby wpływ na podejmowanie decyzji ekonomicznych, blokowałyby przynajmniej złe pomysły. Jest to szczególnie ważne, bo trudno się oprzeć wrażeniu, że obecna ekipa rządowa, podobnie jak poprzednie, wie wszystko lepiej. Pakiet zmian, jakie zostały przeprowadzone w Sejmie, był przygotowany przez urzędników z pominięciem nawet zaplecza doradczego rządu. Nie twierdzę, że wszystkie pociągnięcia były i są złe. Są także dobre pomysły. Jednak nie brakuje błędnych decyzji, budowany jest niespójny system, więc złe posunięcia mogą się pojawiać w przyszłości.

— Czyli wielka niewiadoma. A co mają robić ci, którzy nie wierzą, że nie się nie da zrobić?

— Nie zaprzestawać wysiłków, Gra jest ryzykowna, ale nie sądzę, żebyśmy od tego stołu mogli odejść. Czy jest jakaś inna możliwość?

Rozmawiał:

Leszek Wiśniewski

## WIELKA NIEWIADOMA

Bez zmian politycznych nie sposób usunąć takich, nie dających się pogodzić z reformą, zjawisk jak nomenklatura, która, notabene, nie daje się również pogodzić z konstytucyjną zasadą równości obywateli. Nie uzyska się także przyzwolenia społecznego na dolegliwości reformy bez powierzenia społeczeństwu pewnych elementów kontroli tego procesu.

Zwolennicy hasła: „rynek i silna policja” zapominają, że społeczną bazą władzy w krajach komunistycznych jest z natury konserwatywny aparat partyjny i państwowy, w którego interesy reforma musi uderzać frontalnie.

— Odnoszę wrażenie, że pan i pańscy koledzy jesteście ślepo zakochani w koncepcji samorządowej. Bez wzięcia, zresztą. Mnie wizja „Rzeczpospolitej Samorządnej” nie pociąga. Trudno mi wyobrazić sobie, by w samorządowych przedsiębiorstwach proces inwestowania, akumulacji finansowej czy nawet wybór profilu produkcji miał niezakłócony przebieg. Doświadczenia jugosłowiańskie też nie są zbyt zachęcające...

— Nie ma wystarczającego doświadczenia, a literatura teoretyczna nie dostarcza jednoznacznych rozstrzygnięć. Zatrzymajmy się na chwilę przy Jugosławii, skoro już pan ten temat poruszył. Trzeba by się na przykład zastanowić czy samorząd był tam autentyczny? Można mieć zasadnicze wątpliwości. Poza tym w systemie ekonomiczno-finansowym tego kraju znalazło się wiele wątpliwych rozwiązań. Wreszcie, niespójna polityka makroekonomiczna, wybitnie inflacyjna, będąca efektem nacisku narodowościowego w kraju bardzo pod tym względem skomplikowanym. Z tych choćby, paru powodów doświadczenia jugosłowiańskiego systemu są niemiarodajne.

— A jakie oceniasz istotne?

stwierdzić, czy państwo demokratyczne będzie zdolne do sprawnego pełnienia tych funkcji, lecz są pewne podstawy do takich nadziei. Nie ma oczywiście gwarancji, że reforma samorządowa musi się udać, ale czy są powody, by twierdzić, że globalna prywaty-



Repr. Waldemar Stępień

zacja — gdyby istniał sposób jej przeprowadzenia — doprowadzi u nas do powstania gospodarki tak sprawnej, jak np. w RFN? Równie zasadnie można przewidywać, że osiągniemy np. rezultat argentyński.

Tak miła obecnemu rządowi, opcja menedżerska nie stwarza nadziei na rozwiązanie problemów motywacyjnych ani tym bardziej kwestii samodzielności przedsiębiorstwa.

— A propos, czy widoczne są jakieś różnice w orientacji prezentowanej przez sekretarza Bakę i stronę rządową?

— Różnice zdań występują, choć nie wiem, na ile są one autentyczne, a na ile jest to element prowadzonej przy stole gry. Obserwujemy pewne podziały i odmiennosć stanowisk w łonie grupy rządowej i sądzę, że są one większe niż po naszej stronie — choć i my nie jesteśmy monolitem. Sekretarz W. Baka nie tylko w tym jednym przypadku nie był zachwycony stanowiskiem pana ministra przemysłu. Mam zresztą wrażenie, iż obecny rząd zamknął pakiet spraw gospodarczych jeszcze przed „okrągłym stołem” i teraz chciałby nas nakłonić do omawiania szczegółów realizacji swoich pomysłów.

— To znaczy, że rząd ma pewne pomysły na kryzys?

— Ma, choć one mi się nie podobają. Wprawdzie po stronie partyjno-rządowej istnieje werbalna zgoda na ten kierunek zmian, który określiłem na wstępie naszej rozmowy w czterech punktach, ale w wypowiedziach, a przede wszystkim posunięciach strony rządowej, nietrudno dostrzec skłonność do forsowania wersji alternatywnej. Jej znakiem firmowym jest menedżeryzm, chęć wyposażenia dyrektorów w niekontrolowane przez samorząd uprawnienia, a zarazem zachowania w rękach rządu jak największej ilości instrumentów kontroli nad dyrektorami. Posunięcia rządu, które tymczasem obserwujemy, stwarzają uzasadnione obawy, iż ta właśnie koncepcja już jest forsowana.

— Czy to jedyne pańskie obawy?

— Twierdzę, że spowoduje to zaostrzenie konfliktów wewnątrz przedsiębiorstw. Uprzywilejowani mate-

## LISTY-POLEMIKI

Po pierwsze: nie wszystkie poglądy w rubrykach „Listy-Polemiki”, są zgodne z naszymi. Po drugie: zgodnie z powszechnie przyjętym obyczajem korzystamy z prawa do skrótów w nadawanych do nas tekstach, choć staraliśmy się robić to tak, by nie smucić autorów ich poglądów. Po trzecie: nie publikujemy anonimów. Dlatego też nie zostanie wydrukowany list podpisany: „Stanisław Ostadacz, Lublin, ul. Przewodników Pracy 1 m 33”. Sprawdziłmy w Wydziale Społeczno-Administracyjnym Urzędu Miejskiego w Lublinie — taki człowiek nie figuruje w spisach meldunkowych naszego miasta. Sprawa jest zatem afingowana. Jeżeli nie — prosimy, aby „Autor” odwiedził redakcję.

(Red.)

## „PRZYSZŁY HISTORYK PATRZY W PRZYSZŁOŚĆ”

Przeczytałem 5-ty nr Waszego tygodnika. Nie będę pisał o treści, bo każdy czytelnik ma swoje ulubione działy, problemy czy tematy. Ja mogę stwierdzić, że 90 proc. spraw poruszanych przez Was czytam dokładnie. A to chyba dużo, bo jestem tylko robotnikiem. Moje uwagi krytyczne? Jest jedna. Postarajcie się zmienić kolor tytułu [...]

Piszę o całkiem innej sprawie. Jestem zdenerwowany listem czy artykułem (nie mogę zrozumieć, co to jest) Zb. Dzieciotka pt. „Przyszły historyk patrzy w przyszłość”. Moje pierwsze wrażenie po przeczytaniu tego „biadolenia” było takie: otóż pan ten winien zrezygnować z nauki historii, a przenieść się do Delfi na wydział wróżbiarstwa. Przecież bohater tego artykułu pokazuje swoją twarz bez maski, człowiek ten kocha tylko siebie, nie ma odrobiny krytycyzmu w stosunku do siebie. I ma rację, pisząc zdanie w trybie pytającym: czy jestem pasyżem? Owszem, jest pan pasyżem! Pan Dzieciotka pisze, że ten student po studiach chce mieć jakiś punkt zaczepienia. Zgoda na to. Ale belfrem na wsi nie chce być. (Myślę, że nigdy nie przeczytał on książki pt. „Siłaczka”). Chce mieć mieszkanie, samochód, telewizor kolorowy, wódec i te inne bajery. Ale za co? Co pan do tej pory zrobił? Na studia poszedł pan nie dlatego, że historia to matka nauk, ale aby uciec przed „wojem”. Zostawił pan rodziców po to, aby oni „żyli w ziemi”, a pan chciałby odwiedzać swoich rodziców w okresie świątecznym?

Tak! Jest pan pasyżem!!! Chciałby pan mieć stół i pełno na stole. A może twardsze kęski ma ktoś za pana pogryźć, aby pan się nie utrudził? Bo każdy wysiłek to obowiązek innych. Nie pana, panie student!

Ja należę do pokolenia, które wojnę przeżyło i wzięło się za odbudowę tego MOJEGO kraju. Było ciężko, było źle, było nieraz gorzej niż pan myśli, panie historyku! Ale myśmy czegoś chcieli, w coś wierzyliśmy i nie mieliśmy przed kim wypląkać się. Chce pan demokratyzacji, wolności, zmiany przepisów prawnych? Pod takimi żądaniem ja też podpisuję się. Ale demokracja itd. itp. nakłada na każdego obywatela nie tylko prawa, ale i obowiązki. Pan chce mieć prawa bez obowiązków. Takiej demokracji nie może być.

Z tego, co przeczytałem, wyciągnąłem wnioski, że pan przedłużył sobie studia. No bo ma pan „31 tys. zł miesięcznie” (studiujał). To teraz niech pan posłucha! Moja żona, po przeprowadzeniu prawie 20 lat, b. poważnie zachorowała. Ma drugą grupę inwalidzka i otrzymała 17.040 zł miesięcznie. Ja po ponad 40-letniej pracy mam niewiele większą emeryturę od pańskiego stypendium plus dodatki. A wie pan, dlaczego tak jest? Otóż dlatego, że pan nie chce uczyć się, nie mówiąc o pańskiej chęci do pracy, a ja i ludzie mojego pokolenia płacimy za pana. To my sami, nie jedząc, dajemy panu i innym pasyżom podobnym do pana. Ktoś kiedyś powiedział, że „żądając od innych, żądamy po wielokroć więcej od siebie”. Pan jest historykiem, a ja robotnikiem, czyli powinien pan wiedzieć, kto i kiedy powiedział te słowa.

Na zakończenie chcę panu powiedzieć, że znam szkołę, gdzie historii naucza nauczyciel po studiach AWF. I jest ładne mieszkanie. A jeszcze jedno. Nie należę do żadnej organizacji społeczno-politycznej. Dla mnie jest pan stonką ziemniaczaną.

Wacław Jaszczak  
Lublin

## NA ZASŁUŻONEJ WIECZNEJ WARCIE...

## ŻYWOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO (8)

Józef Zięba

**P**OZYSKANE z Madrytu materiały, listy oraz opublikowany w poprzednim numerze „Relacji” wywiad z bogactwem zbioru Muzeum im. Józefa Czechowicza i będą służyły biografom i badaczom twórczości Józefa Łobodowskiego. Zgromadzone w muzeum pamiętki, książki i rękopisy zostały zaprezentowane na wystawie 22 września 1988 r. przy okazji zorganizowanego wieczoru pamięci. Wieczór wzbudził duże zainteresowanie w kręgach lubelskich miłośników współczesnej literatury. W salach muzealnych skupiło się ponad dwięście osób. Po raz pierwszy w czasie tego wieczoru została zaprezentowana w całości — w interpretacji Marii Kanchowskiej, Stanisława Klimaszewskiego i Świątomiła Zabka — „Ballada lubelska”. Doc. Jerzy Świętek wygłosił o twórczości Łobodowskiego bardzo interesującą prelekcję.

Przy organizacji wieczoru i wystawy okazało się, że w Lublinie nie można skompletować wszystkich książek Józefa Łobodowskiego, a wiedza o tym wybitnym poecie, nie tylko wśród przeciętnych czytelników, ale nawet wśród uniwersyteckich polonistów, jest mniej niż skromna. Złożyły się na to wskazane już uprzednio powody, ale i ciągle jeszcze istniejące opory, niechęć i nieufność zarówno w kraju, jak i w kręgach emigracji.

Dobrym przykładem takiego stosunku może być odpowiedź na mój list, który rozesłałem w celu pozyskania dla Muzeum Józefa Czechowicza dalszych rękopisów i pamiętek po Józefie Łobodowskim. Oto jej treść:

„Szanowny Panie, w odpowiedzi na list Pana z 5.5.1988 uprzejmie informuję, że jak dotąd Biblioteka Polska w

wód dostatecznie ważny i prowadzący na rzecz decyzji, aby cała Jego spuścizna pisarsko-literacka i publicystyczna pozostała zabezpieczona w odpowiedniej instytucji emigracyjnej. Instytucje emigracji niepodległościowej czują się zatem jeszcze bardziej uprawnione niż Muzeum Literackie im. Józefa Czechowicza w Lublinie, by się powołać na moralny obowiązek przejęcia spuścizny zmarłego poety.

Wprowadził pisał Pan, że „atmosfera wokół osoby Józefa Łobodowskiego znacznie się zmieniła”, powołując się na swój artykuł w „Kurierze Lubelskim”, w którym jakby wyznacza Pan, że poeta, «ciągle nieufny wobec zmieniającej się w kraju rzeczywistości, nie podjął próby odwiedzenia Lublina», ale świadczy to o zupełnym niezrozumieniu jego postawy i zasad jakimi się kierował, jak i oceny «rzeczywistości krajowej», także i tej rzekomo czy choćby cząstkowo zmieniającej się, ale w istocie tkwiącej nadal w tych samych okowach i ramach narzuconego systemu, przeciw któremu walczył swym piórem bezkompromisowo i bez jakichkolwiek złudzeń czy ustępstw.

Rozumiem oczywiście Pana troskę, doceniam starania przypomnienia osoby poety i cieszę się, że wreszcie krytykom literackim zezwolono na zajęcie się częściowo Jego twórczością, ale sądzę, że bezpieczniejsze miejsce dla tej spuścizny pozostaje tu, na emigracji, gdzie też znalazł się wydawca dla jej wydania, w tym i wspomnień, które w Kraju ukazać by się nie mogły. Myślę, że w o wiele większym stopniu uzasadnia to pozostawienie spuścizny tej twórczości w środowisku emigracyjnym, w którym powstawała i z którym była związana, niż



Zdjęcie ze zbiorów Muzeum J. Czechowicza. Uroczystości pogrzebowe w Lublinie.

Fot. Piotr Maciuk

Londynie nie otrzymała spuścizny pisarskiej po A. p. Józefie Łobodowskim. O ile mi wiadomo, urna z Jego prochami została już przewieziona do Lublina, gdzie ma się odbyć ich złożenie do grobu.

Również, o ile mi wiadomo, w testamentie Poety nie ma żadnej dyspozycji na temat przekazania Jego papierów i korespondencji do Kraju, a w szczególności do instytucji przez Pana reprezentowanej. Ponieważ wzmiankuje Pan, że Muzeum Literackie «czuje się w moralnym obowiązku», by się ubiegać o przejęcie spuścizny literackiej Józefa Łobodowskiego», pragnę wskazać i przypomnieć Panu, że Łobodowski — poeta i publicysta — był pisarzem bojowym, niepodległym i bezkompromisowo antykomunistycznym i antyreżymowym, jest to zatem po-

powoływanie się na jej związki z Lublinem, bardzo jednak odległym w czasie i przestrzeni. Co nie znaczy, że Lublin nie może i nie powinien twórczością tą się interesować i do niej sięgać w coraz pełniejszym wymiarze. I tego najbardziej życzę.

Z wyrazami szacunku dr Z. Jagodziński, Kierownik Biblioteki”.

Jako komentarz do tego listu mogę tylko dodać, że 16 października 1988 r. podpisałem z Wydawnictwem Lubelskim umowę na opracowanie wyboru poezji Józefa Łobodowskiego. Wybór ten, liczący ponad czterysta stron maszynopisu, obejmuje wszystkie przedwojenne i emigracyjne tomy wierszy. Maszynopis już został złożony i przyjęty do druku. Ukaze się, jak zapewne wydawca, jeszcze w roku bieżącym

dla upamiętnienia osiemdziesiątej rocznicy urodzin i sześćdziesięciolecia debiutu książkowego poety. Inne wydawnictwa, jak: Państwowy Instytut Wydawniczy, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i Wydawnictwo KUL, również zamierzają wydać wybory wierszy Łobodowskiego. Druk bibliofilski „Ballady lubelskiej” przygotowuje Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki, a Wydawnictwo Lubelskiej Kurii Diecezjalnej wiersze religijne autora „Rachunku sumienia”.

Realizacja tych zamierzeń edytor- skich, z jednej strony, udostępni dorobek poetycki krajowemu czytelnikowi, z drugiej zaś przyczyni się do przełamania ciągle jeszcze polutujących niechęci i oporów. Niezbędne też jest zebranie i wydanie publicystyki i przekładów dokonanych przez Józefa Łobodowskiego. Wybór publicystyki pozwoliłby ukazać zarówno doskonałe pióro poety — publicysty, jak i problematykę, która go pasjonowała. Tom taki zapewne zweryfikowałby obiegowe sądy na temat jego poglądów społecznych i politycznych. Byłby to też bardzo interesujący dokument czasu i postaw pokolenia polskiej politycznej emigracji, które już odchodzi.

Pogrzeb prochów Józefa Łobodowskiego odbył się w Lublinie 22 października 1988 roku. Jego organizacją zajęł się w imieniu Duszpasterstwa Środowisk Twórczych zwanego lubelski dziennikarz, Leszek Gozła, z którego inicjatywy został wydany piękny druk informacyjny o uroczystościach żałobnych oraz opracowany ich program. Tylko lubelska prasa codzienna w dziwny sposób przeczytała i nie poinformowała społeczeństwa o mającym się odbyć pogrzebie prochów najwybitniejszego po Czechowiczu lubelskiego poety.

Mimo tego „przeoczenia” uroczystość uzyskała szczególną wymowę. Oto nad prochami relegowanego niegdyś studenta KUL modlili się dwaj biskupi- rektorzy. Mszę żałobną w kościele akademickim KUL sprawił aktualny rektor tej uczelni ks. bp Jan Smutwa, a kondukt pogrzebowy na cmentarzu prowadził rektor poprzedniej kadencji ks. bp Piotr Hemperek. Urnę z prochami miał lubelski pisarz i plastyk Zbigniew Strzałkowski, a towarzyszyli mu: Henryk Pająk, obecnie prezes Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, i piszący te słowa.

W przemówieniu wygłoszonym nad miejscem wiecznego spoczynku prochów poety, powiedziałem, że nie śniemy go, ale witamy w kraju i na lubelskiej ziemi.

Wydaje się, że przedstawił tu sylwetkę poety nie należy traktować w sposób jednostkowy. Skupia on bowiem jak w soczewce dramat boleśnie podzielonego na dwie (krajową i emigracyjną), często nie rozumiejącego się już części narodu. Prochy Łobodowskiego, poety-emigranta, spoczywające od kilku miesięcy w Kraju, na lubelskim cmentarzu i jego twórczość porażająca do krajowego czytelnika, może pozwolić wiązać poprzedzające nici i skłaniać do głębszej refleksji nad sposobami usuwania ustawionych barier.

O pierwszym kroku, w tym kierunku może świadczyć już telegram, który otrzymałem po przekazaniu do Madrytu wiadomości o pogrzebie prochów J. Łobodowskiego. Przyjaciele poety napisali:

„I my, w dalekiej Hiszpanii, wraz z żegnającymi prochy Poety rodakami w Lublinie, chyliśmy głowy nad ostatnim miejscem ziemskiego postoju wiernego żołnierza ukochanej Polski, Józefa Łobodowskiego, prosząc, by dobry Bóg przyjął Go na zasłużoną wieczną wartę. Polonia hiszpańska”.

Dr Józef Zięba, absolwent polonistyki KUL (1955), dyrektor Muzeum im. J. Czechowicza w Lublinie (od 1967 roku).

**A**NEGDOTA mówi, że było tak: pewien Ważny Ktoś, poszukując miejsca na lokalizację zakładów azotowych, zatrzymał swoją czarną wołgę na szosie wśród puławskich lasów. Wysiadł, zaciągnął się świeżą sosną, posłuchał ptasząt, zerwał pęczek konwali... Bardzo mu się tam spodobało. Zaraz potem las poszedł pod siekiere, żeby przygotować miejsce pod fundamenty wielkich zakładów. Część puławian zaprotestowała przeciw temu gwałtowi na naturze, zrobił się smród, który jednak nie zniechęcił budowniczych. Tamta myśl zrodzona na świeżym powietrzu była przecież jedynie słuszną, a zakłady miały stać się, jak na owe czasy, największym producentem nawozów sztucznych w Europie. Zielone Puławy musiały złożyć broń, nie przeczuwając, co je czeka w przyszłości. A czekał wielki smród.

Smród jest zawsze sprawą sekretną. Lepiej udawać, że się go nie czuje, bo można zostać pomówionym. Ten sposób myślenia przez długie lata towarzyszył człowiekowi. Człowiek cywilizował świat, rozwijał przemysł, modelował środowisko po to, żeby żyło mu się lepiej i nowocześniej. Wolał jednak nie pamiętać o tym, że ten świat składa się z materii, która ma granice wytrzymałości i bez końca wy-

korzystywać się nie da. Fatalne skutki gospodarki do niedawna jeszcze opatrywane były klauzulą „poufne”, a terminów: „niszczycielska eksploatacja”, „śmierć ekologiczna” nikt powszechnie nie używał, bo najważniejsza była produkcja. Dzisiaj wiadomo, że mamy 27 obszarów zagrożonych ekologicznie. Wśród nich jest także rejon puławski.

Co śmielnicy w Puławach? Dr Zygmunt Jakubczak z puławskiego IUNG przez długie lata zajmował się problemem zanieczyszczeń, więc ma dokładne rozeznanie. Otóż „Azoty” emitują m.in. dwutlenek siarki, tlenki azotu, amoniak i pyły. Rocznie z zakładowych kominów przedostaje się do atmosfery 50 tys. ton zanieczyszczeń co stanowi jedną czwartą wszystkich trujących substancji, które wiszą w powietrzu nad obszarem województwa lubelskiego. Wprawdzie przeciętnemu człowiekowi trudno sobie wyobrazić, jak duża jest dawka tej trucizny, ale spróbujmy przynajmniej się dowiedzieć, skąd biorą się te dane. Badaniem frędzel emalii zajmują się specjalne placówki. Pomiarów dokonuje się 3-6-krotnie w roku, a ich wyniki trafiają potem do gusowskiej statystyki. Dr Jakubczak twierdzi, że z powodu zbyt małej ilości pomiarów dane GUS nie mogą być wiarygodne. Podkreśla wręcz, że są przynajmniej dwukrotnie zaniżone.

W 1987 roku z wielkiego kominu „Azotów” wyleciało w powietrze ponad 11 tys. ton dwutlenku siarki. I to druga sprawa warta — jak sądził mój rozmówca — dociekania. Już dociekał. Wystarczyło zapytać, jaka ilość węgla spalano w tamtym roku, jaka była w nim zawartość siarki, żeby wyliczyć — posługując się ogólnie znanymi wzorami — że w procesie produkcji dostawało się do atmosfery nie 11, a 13 tys. ton trujących związków. A po zastosowaniu innych jeszcze wzorów, ilość emitowanego dwutlenku siarki sięgnie już 18 tys. ton. Dr Jakubczak przypuszcza więc, że skądinąd puławskiego środowiska jest o wiele większe, niż ilustrują to dane.

## ZIELONE PUŁAWY MUSIAŁY ZŁOŻYĆ BRON WIELKI SMRÓD

Ewa Czerwińska

Zagrożenie stanowią także, pomijane w statystykach i do niedawna w ogóle nie badane, związki azotu, które również powstają w procesie spalania węgla. Są to pyły mocznika i saletry amonowej oraz gazy — tlenki azotu i amoniak. One właśnie stanowią o specyfice puławskiego powietrza. Nie liczby, które trudno sobie wyobrazić, nawet jeśli są zaniżone, ale ten smród jest najbardziej wiarygodnym źródłem informacji.

A co mówią mieszkańcy? Najbardziej zagrożone są wieś leżąca na szlaku wiatrów — Wronów, Osiny, Wola Osińska. Ponad 10 tys. ton gazów i py-

łów przemieszcza się rocznie nad tym terenem. W podobnej sytuacji są mieszkańcy Baltowa, Borysowa, Żyrzyna, Żerdzi i Baranowa. Do Puław leci tylko 6-7 procent zanieczyszczeń. Tamtejsi ludzie żyli się z kominami. Żyją i pracują przy trasie: Puławy — Radom sadzą truskawki i warzywa. Tylko członkowie Towarzystwa Przyjaciół Puław dają znać, że to powietrze im się nie podoba, czasem ktoś puści plotkę, że zbyt dużo w ostatnich czasach poronień, ktoś zatrządy się ilością zachorowań górnych dróg oddechowych.

Porównam to opowieści dr. Antonimu Prazmo, dyrektorowi puławskiego ZOZ. W zamian słyszę, że faktycznie dało się zauważyć zwiększone patologicznych poronień i poronień, chorób układu oddechowego, zwłaszcza u dzieci. Ale nie prowadzi się badań, które stwierdziłyby autorytatywnie, że te schorzenia czy też nieprawidłowości są skutkiem zanieczyszczeń pochodzących z „Azotów”. Trują przecież inne zakłady, truje komunikacja, część zanieczyszczeń leci z wiatrem wprost z kazińskiej elektrowni...

Dr Prazmo nie posiada więc żadnych statystyk. Może jedynie przypomnieć, że na początku lat 80. przeprowadzono badania wśród setki dzieci z gmin Żyrzyn i Janowiec potwierdza-



Fot. Waldemar Stępień

jące dużą częstotliwość zachorowań górnych dróg oddechowych. Nieco wcześniej, bo w latach 68-69, stwierdzono wśród mieszkańców sąsiadujących z „Azotami” wsi niedobór witaminy E oraz podwyższony poziom methemoglobiny (połączenie hemoglobiny z tlenkiem węgla), który powoduje, że tlen nie może przemieszczać się w organizmie w sposób prawidłowy. Obserwacja ta dotyczyła głównie dzieci i starców. Jakże następstwa przyniosą te zaburzenia w przyszłości, tego medycyna nie wie. Nie wie z pewnością jeszcze wielu innych rzeczy, bo skąd, jeśli nie prowadzi się stosownych badań. Tytuł wiadomości z lekarskiego gabinetu.

Więcej powie przyroda. Wystarczy przemierzyć trasę z Puław do „Azotów”, żeby przekonać się, jak w naturze wygląda śmierć. W ścianie lasu stojącej wzdłuż szosy, w rachitycznych, dogorywających drzewach odbija się ciemność.

zwiększyli się o 1,5 tys. hektarów. Wprawdzie rezerwy przyrody starają się wprowadzić quasi-równowagę, zalesiając wymarłe przestrzenie bardziej tolerancyjnymi gatunkami drzew (brzoza i czerecha amerykańska), ale i ta kropelówka nie zawsze jest skuteczna. Sztucznie podsycający przez nadmierne dawki azotu wzrost części wegetatywnych drzew powoduje, że soki krążą aż do mrozów, drzewo nie usypia, co w następstwie powoduje wymarzenie.

Mgr Michał Polkowski, szef Zakładu Doświadczalno-Wdrożeniowego Reaktywacji Terenów Zdeprawowanych w Puławach, dokumentuje eskalację lesnej zagłady. W roku 1968, zagrożenie obejmowało 3 ha leśnych obszarów, w 70. — już 1907 ha, w 78. — 3418 ha, a w roku 1988 — wymiera już ponad 12 tys. ha lasu. Rzecz w tym, że zielone płuca nie są studnią bez dna. Las sosnowy rosnący na powierzchni jednego hektara może wchłoniąć ok. 40 kilogramów azotu rocznie. Tymczasem na ten hektar spada ponad 600 kilogramów trucizny. Dodajmy do tego jeszcze dwutlenek siarki, pyły mocznika... W tym miejscu mgr Polkowski przypomina, co mówiono w czasach, gdy powitały zakłady. A mówiono, proszę państwa, że żadne

drzewko poza egredzeniem nie uschnie! 216 hektarów leżących wokół zakładów to strata całkowicie wyliczona. Gola ziemia. Mgr Polkowski mówi, że to zielona pustynia. Zielone jest latem, gdy rośnie tam trawa. Przed nią były drzewa, ale wkrótce przekonano się, że najwytrwalsze z nich nie ma w promieniu 700 metrów od frędzel skądinąd żadnych szans na przetrwanie. Z drzew zrezygnowano i posiano trawę, która miała służyć jako komponent pasz. Od tego projektu również odstąpiono, bo co to za pasza „pędzona” niemal na samym azocie?

W zakładzie mgr. Polkowskiego wybrane wręcz wariant najlepszy i obecnie z trawy mieszaną z trzcinami robi się walec i bardzo poszukiwany przez egredniów kompost. Utrzymanie zielonej pustyni jest bardzo kosztowne. Trzeba ją odpowiednio nawozić, nawadniać. Ale mimo wszystkiej opieki. Ten najdroższy trawnik świata, jak mówią o nim w Puławach, także pochłania azot, 200-300 kilogramów rocznie. Gdyby więc go nie było, to cały ładunek tego związku znalazłby się w wodach gruntowych. Trawa jest jeszcze po to, aby nie dopuścić do erozji wietrznej. Pomieszczenie gołej pustyni spowodowałoby przemieszczanie piasku w stronę „Azotów” i groziłoby zasypaniem instalacji. Poza tym trawa spełnia funkcję estetyczną, co także liczy się, zwłaszcza wtedy, gdy „Azoty” odwiedzają ważni goście.

Ala my tu o trawie, a kamień jak dymią, tak dymią. Rzecz nie w przedłużaniu agonii, a w zdedykowanej reanimacji. Nie w trawie, a w kamieniu.

De 1985 roku nikt w puławskich „Azotach” nie zastanawiał się poważnie nad tym, jak unieszkodliwić źródła zanieczyszczeń. Te kominy właśnie. Dopiero w czasach dyrektora Kijowskiego sformułowano program ochrony środowiska. Program jest wieloletni i kompleksowy, który — wbrew tradycji, że jeśli coś jest wieloletnie i kompleksowe, to można je od razu spisać na straty — jest realizowany. Nie bez trudności, oczywiście. Brakuje pieniędzy, dostawy materiałów i prefabrykatów nie zawsze zdążają na czas. Ale można przewidzieć efekty: do roku 1993 powinna zmniejszyć się emisja związków azotowych, a to dzięki zabudowie instalacji odpylających; do roku 1990 ma powstać biologiczna oczyszczalnia ścieków. Punktem programu jest więcej. Jest rozsądne wręcz myślenie. Ale cudu nie będzie. Przynajmniej w tym wieku. Środowisko przez długie lata faszerowane trucizną cierpi na przewlekłą chorobę.

## LISTY - POLEMIKI

### „SPRAWDZENIE STUDENTKI”

W związku z artykułem red. Waldemara Piaseckiego pt. „Sprawdzenie studentki (50 proc. science fiction)”, wydrukowanym w nr. 4 „Relacji”, uprzejmie proszę o sprostowanie nie odpowiadającej prawdzie informacji, zawartej w następującym fragmencie tej publikacji: „Pomysł (utworzenia agencji „Adept” — przyp. mój) powstał ponoć dwa lata temu, a jego orędownikiem był felietonista lubelskiej gazety J. M. Niestety — zdaniem współników — żurnalista nie wywiązał się z zobowiązań, jakie przyjął, i trzeba mu było odebrać całą dokumentację oraz zająć się kwestią rejestracji samemu”.

Po pierwsze — nieprawdą jest, jakoby kiedykolwiek był orędownikiem (obroncą, protektorem, patronem — słow. frazeolog. jęz. polskiego) czegośkolwiek, bowiem zarówno w swojej działalności publicystycznej, jak i w życiu zajmuję się przeważnie swobodnym. W tym przede wszystkim kłótni, oszustwa oraz tzw. wzięcia ludzkiego ciemnoty.

Poproszony o pomoc i zaproszony do udziału w tworzeniu spółki, zostałem jej współorganizatorem oraz głównym autorem koncepcji działania. Wykas dziedzin zainteresowania czy też — mówiąc inaczej — opis rodzajów usług przyszłej agencji był jednak jedynym materiałem, jaki powstał. Mógł on co najwyżej dokumentować fakt, że ktoś miał pod ręką maszynę do pisania, w żadnym jednak razie nie można określić tego jako „dokumenty”, z których pierwszym — w przypadku spółki — jest dopiero akt notarialny zawarcia umowy. Ponieważ moi byli partnerzy nie byli w stanie odtworzyć owej listy samodzielnie, z dobrej woli przekazałem im ten nieszybyty dług wykas w chwili podjęcia postępowania rejestracyjnego.

Niestety, użyte w artykule słowo: „odebrać” trafnie charakteryzuje zarówno sposób myślenia, jak i projektowane metody działania szefa agencji. I właśnie to stało się przyczyną utraty mojego zainteresowania spółką jeszcze przed jej powstaniem.

Z podobnej „filozofii” romantycznej przemocy i szpiegowania, uosobianej przez filmowego Jamesa Bonda, powstała też część „akcyjna” (akcion) artykułu „Sprawdzenie studentki”. Zadeklarowany przez red. Piaseckiego 50-procentowy udział fikcyjny w tym utworze oszacowany został przez autora stanowczo zbyt skromnie.

Z poważaniem  
Jan Matusz

PS. Użyte przez autora cytatu wtrącenie „— zdaniem współników —” nie zmienia sytuacji, gdyż nie świadczy ono o dziennikarstwie od wymaganego ustawowo „szczegółnej staranności” w zbieraniu materiałów. W tym przypadku również staranności poprawnego, logicznego myślenia.

J. M.

### „KOMU? ZA CO? PO CO?”

„Relacje” przyjąłem z zadowoleniem. Ostentacyjnie nigdzie nie jest powiedziane, że tzw. ośrodki regionalne muszą mieć ambicję prasę. Wystarczy, żeby była to prasa dobra.

Dobra, nawet sensacyjna w tematyce gazeta musi być rzetelna. Braki erudycji mogą być wyrozumiałe w kawiarni, ale nie w gazecie, zaś uśmiech na pogrzebie, przynajmniej w znanym mi kręgu cywilizacyjnym, należy do złych obyczajów.

W co „biję”? Ano w „Relacje”. Pan Wiesław Horabik (nr 4/89 na str. 13) raczył napisać tekst zatytułowany „Kolegia ds. wykroczeń nie muszą być skazani na naszym trybie publicznym. Komu? Za co? Po co?”. Pytam przeto, po co pan Wiesław Horabik w swoje impresje wpała dywagacje teoretyczno-prawne?

Nie potrafię zgodzić się na takie manipulowanie opinią publiczną przy

Dokończenie na str. 6

## LISTY-POLEMIKI

Dokończenie ze str. 5

równoczesnej gołosłowności też. Zaczynamy od początku: tekst jest ogólnikowy, ale w miarę prawdziwy, a co dalej? Dalej są „składy orzekające”? Nijakich wniosków pan Horabik nie wyciąga z własnej konstatacji, że np. na 126 członków Kolegium przy Prezydencie Miasta Lublina tylko cztery osoby legitymują się wyższym wykształceniem prawniczym. No cóż, nie wiem, czy pan W. Horabik zechciałby leczyć się w szpitalu, w którym na 126 lekarzy tylko czterech miałoby ukończone studia medyczne?

Naruszenie norm prawnych jest przejawem sytuacji społecznie patologicznej, o wielowektorowych i skomplikowanych wektorach. Wymaga dużej wiedzy i ciągłego, ustawicznego kształcenia sędziów, aby mogli sprostać minimum racjonalnego orzekania. W „kolegium”, czyli tzw. „Kolegiacie”, nadal wystarcza „chęć szczerą”. Argumentacja oparta na ludowej wiedzy i „poczuciu” przypomina argumentację, że znachorzy nieraz lepiej leczą niż lekarze, dlatego powinniśmy im powierzyć nasze zdrowie.

„Kolegiadka” sprawiedliwość, jej walka o przetrwanie, jest przejawem od lat rozkładającego nasz kraj kultu amatorszczyzny; to podobne do tych facetów, co zmieniają stolki z branży do branży i wszędzie oraz zawsze pozostają „znakomitymi specjalistami”;

Poprawność orzekania?! Liczba 27 proc. odwołań nie mówi. Jeżeli jest ich tak mało, to śmiem twierdzić, że dlatego, iż nikt nie wierzy w ich skuteczność z wyjątkiem tych 27 proc.

Natomiast 50 proc. skuteczności, to ni mniej ni więcej, tylko tyle, że co drugie odwołanie uznaje się w tym odwoławczym inkwizycyjnym postępowaniu za zasadne.

Osobiście widziałem dwu-, trzydzianowe uzasadnienia instancji odwoławczej, w którym to uzasadnieniu poza kosztami i komunalami nie było ani jednego zdania co do merytorycznych zarzutów odwołania.

Prawdą natomiast jest — podzielim w tym miejscu poglądy p. Horabika — że kolegia były zawsze organami najskwapliwiej realizującymi życzenia wszelkiej władzy. Ostatecznie są usytuowane w piśmie resortu spraw wewnętrznych i o tym nie wolno zapominać.

Co do procedury — cóż, sama w sobie nie jest najgorsza. Prawda natomiast, że nie jest w pełni przestrzegana. Organ oskarżający jest często przesłuchiwany jako świadek (jeden milicjant oskarża, a drugi, nawet jego podwładny — świadczy). Ponadto — zdarzyło mi się obserwować sprawę, gdzie uznawano za dowody gołosłowne oświadczenia inspektora pracy, nie dopuszczając dowodów strony oskarżonej.

Co do szybkości orzekania — to jest takie powiedzonko o łapaniu pcheł. Efektem tej szybkości jest powierzchowność w dokonywaniu ustaleń faktycznych. Poza tym — kolegia orzekają szybko, bo nie mają z reguły wątpliwości natury prawnej. Wykładnie określa aktualna polityka resortu, do którego przynależą, co zresztą autor potwierdza w części końcowej swego artykułu.

Artykuł zawiera też zasadniczy błąd merytoryczny, istotnie wpływający na interpretację jego treści. Nie ma od orzeczeń kolegiów odwołań do sądów. Taka jest zasada. Odwołania przysługują wyjątkowo przy orzeczeniu kar związanych z pozbawieniem wolności. „Po kieszeni” kolegia biją „automatycznie” i „niezależnie”.

Moim zdaniem — kolegiów wyprostować się nie da. Ten mechanizm ma „wbudowany” automatyzm skrzywień. Trzeba po prostu powrócić do sądów lokalnych, orzekających w sprawach wykroczeń i ew. niektórych występów np. w składzie ławniczym lub nawet jednocesobowo przez profesjonalistów — sędziów zawodowych, z pełną procedurą odwoławczą. Wymiar sprawiedliwości karnej par se jest dochodowy, do tego nie trzeba dopłacać pod warunkiem, że ryzyko kosztów obciążać będzie równo tak oskarżyciela, jak oskarżonego.

Porównanie kolegiów do wesolego miasteczka mi nie pasuje. To bardzo smutny „gorodok”.

Uważam, że społeczeństwo ma prawo bronić się przed taką sprawiedliwością i domagać się rzetelności nawet wówczas, gdy chodzi o pieniądze. Rzetelności gwarantowanej formalnie i personalnie, tj. przez zapewnienie niezawisłego orzecznictwa realizowanego przez zawodowych sędziów.

Leszek Liszcz

Lublin

## KOGO NABIĆ W BUTELKĘ, SŁOIK, W BECZKĘ

## GIGANT PRZED ZGONEM?

Henryk Pajak

PRZED rokiem w jednym z centralnych pism opublikowałem artykuł, w którym udowaśniałem państwowemu systemowi skupu owoców, że od lat bezczelnie okrada producentów, płacąc im haniebnie marne pieniądze za surowiec dla przemysłu przetwórczego. Dowodów dostarczyła sama „zima stulecia” z 1987 roku. Po przemarznięciu ponad 30 milionów drzew już następnego sezonu płacono producentom po 110 złotych za kilogram jabłek, podczas gdy jeszcze rok przedtem — ledwo po 16 złotych. Te 110 złotych było przeciętną ceną sezonu, ponieważ znaczną część surowca skupiono po 160 złotych. A mimo to, na przekór niemal dziesięciokrotnie większej cenie skupu surowca, zakłady przetwórcze nie tylko nie zbankrutowały, lecz demonstrowały znakomitą kondycję finansową!

Mój ówczesny rozmówca, dyrektor zjednoczenia całego klucza przedsiębiorstw przetwórczych pod nazwą „Fructopol” — pan Henryk Trus, na wiadomość, że niektóre podległe mu zakłady właśnie płacą producentom po 160 złotych, wykrzyknął: „To zbrodnia!” I zapytał z ogniem w oczach: „A gdzie para? Maszyny? Energia elektryczna? Płace? Podatki?”

W jakiś czas potem, po przeczytaniu artykułu, oznajmił jego autorowi: „To było pisane tendencyjnie, bo wyłącznie z korzyści producenta!”

Po roku zmieniam front. Przybywam do gabinetu dyrektora H. Trusa z innym co prawda, lecz jeszcze bar-

ziej tendencyjnym nastawieniem. Pragnę wyzwać dyrektora na pojedynkę liczb i faktów z pozycji milionów jego klientów, a zatem pozycji własnej, prywatnej, jako szary nabywca jego przetworów. Przybyłem zaopatrzone w pomoc naukową w postaci małego słoika po dzemie z czarnej porzeczki.

Moje koronne pytanie brzmiało: dlaczego garstka porzeczek, zmieszana z czymś tam, kosztuje dwieście złotych? I drugie pytanie: dlaczego tej samej pojemności słoi dzemu, który w grudniu ubiegłego roku kupiłem w Giżycku (niestety, nie pamiętam czy jej produkcji), kosztował 400 złotych, natomiast słoi dzemu śliwkowego aż 480. Bo dwa miesiące później w innym miejscu Polski — w Skarżysku na Kielecczyźnie — słoi dzemu z czarnej porzeczki kupiłem za 300 złotych, natomiast taki sam dzem w Lublinie stoi na półkach sklepowych w cenie od 180 do 230 złotych. Co więcej: słoi dzemu śliwkowego kosztuje w Lublinie o 250 złotych taniej niż w Giżycku. Czy chodzi tu o dodatek turystyczny? Jeżeli tak, to 480 złotych w Giżycku jest chyba ceną godną szczytu Himalajów!

A zatem: skąd się biorą konkretne ceny i to ich szaleńcze zróżnicowanie? I generalnie — dlaczego są tak wysokie: garstka porzeczek zmieszana z czymś tam...

Dyrektor Henryk Trus rozprawia się króciutko z moim słoiem i moimi pytaniami. Z politowaniem w oczach

oznajmia: „Przed wszystkim nie «czegoś tam», tylko pektyny. A wie pan, ile kosztuje kilogram importowanej pektyny? Pięć tysięcy złotych, jak na dziś. A wie pan, ile trzeba zużyć pektyny na kilogram porzeczek? Aż osiem kilogramów! Pektyna polskiej produkcji kosztuje tylko 3800 złotych, ale jej produkcja pokrywa zaledwie 20 procent krajowego zapotrzebowania. Ten, kto nie dopcha się do polskiej pektyny, tylko kupi przez »Interprego« importowaną, musi skalkulować wyższą cenę za słoi”.

Od tego momentu dyrektor Trus już ani na chwilę nie wypadnie z roli wytwórcy (dodajmy — monopolisty w regionie). Już wie, co znaczy pozwolić dziennikarzowi na swobodny dyktancki lot po obszarach jego imperium, zwanego „Fructopolem”.

Rad nie rad zamieniam się w mechanicznego skrybę. I oto, co udaje mi się zanotować z dyrektorskiego monologu.

Pierwsza rzecz, to fakt, że imperium wykrusza się i maleje, a niewykluczone, że skurczy się do jednego czy dwóch zakładów. Dochodzi do licznych rozwodów. Ostatnio zerwały z kombinatem i usamodzielnili się przetwórcy w Chełmie i Nielewku oraz Gospodarstwo Rolne Chromówka. Przed laty uczynił to jeden z największych zakładów przetwórczych regionu — Milejów. Nielewki i Chełm odeszły na wniosek wojewody chełmskiego, ale miały na to zgodę samo-

## Opowieść pierwsza

Z A późno zrozumiałam, że dziecku trzeba najpierw pomóc, a dopiero później go karać. Własnymi rękami chciałam wepchnąć syna do poprawczaka. Przez pięćdziesiąt lat żyłam uczciwie, więc i od niego bezwzględnie wymagałam tego samego. Nikt nie chciał mi pomóc. Dopiero jeden pan z izby dziecka otworzył mi oczy na wszystko. To jemu zawdzięczam, że zmieniłam swój stosunek do syna i zrozumiałam jego problemy, że inaczej popatrzyłam na otaczającą mnie rzeczywistość. Chcę o tym opowiedzieć. Chcę, by inni rodzice to przeczytali.

Matka Mariusza, drobna, szczupła, niewysoka kobieta, nerwowymi ruchami rąk sięga po leżącą na stole paczkę papierosów. Siedzimy w większym pokoju spółdzielczego M-3. Regał, telewizor, wersalka, „jannik” z fotelami, na podłodze dywan. Czyściutko. Na półkach pedantyczny porządek. Mniejszy pokój należy do Mariusza. Chłopiec nastawił magnetofon. Słychać dyskotekowe przeboje. Matka starannie zamyka za sobą drzwi.

— Mariusz jest czwartym dzieckiem. Mam trzy dużo starsze córki, które powychodziły już za mąż i mają własne dzieci. Zostałam sama z synem, kiedy ten zaczął chodzić do pierwszej klasy. W nauce nigdy orłem nie był, ale przechodził z klasy do klasy. W siódmej klasie, chyba od półrocza, przyszedł do nich nowy uczeń — Zbyszek Kowalski. Mariusz zaczął przyprowadzać go do domu. Z początku Zbyszek wydawał mi się miłym chłopcem. Mariusz zaczął przychodzić coraz później do domu, nawet po 22-giej. Twierdził, że u Zbyszka oglądają filmy video. Zaczęłam krzyczeć na niego, że filmy to i po południu można oglądać. Aż któregoś dnia poszłam do szkoły i wtedy okazało się, że Mariusz ma dwie i chodzi na wagar. Wróciłam do domu, nerwy mnie poniosły i sprząłam go kablem, ile wlezie. Uciekł i nie wrócił na noc. Zameldowałam o tym w komisariacie, prosząc, by milicja pomogła mi go odszukać. Mariusz sam wrócił do domu. Zadzwoniłam do komisariatu, powiadając, że syn jest już w domu. Uważałam, że to był mój obowiązek. Po Mariuszu przyjechał radiowóz. Powiedziano mi, że muszą go przesłuchać i będzie nocował w izbie dziecka. I od tej pory coraz częściej wydawałam własne dziecko w ręce milicji z przekonaniem, że spełniam swój rodzicielski obowiązek. Sądziłam przy tym, że wszystko, co się dzieje,

jest zgodne z prawem. Kiedy następnego dnia poszłam do komisariatu po Mariusza, dzielnicowy powiedział mi, że jest on wpłatany w kradzieże i włamania do samochodów osobowych. Nogi się pode mną ugęły. Mariusz przyznał się do wszystkiego. Ze do samochodów włamywał się razem ze Zbyszkiem Kowalskim na zlecenie ojca starszego brata, który odbywał służbę wojskową w Warszawie. Przywoził on z Warszawy listy z zapotrzebowaniem na nowe opony i części samochodowe. Dzięki zeznaniom Mariusza milicji udało się odnaleźć część rzeczy w Warszawie i podczas rewizji w domu Kowalskich. W kilku miesiący później pojechałam z synem do Warszawy na proces wojskowy starszego Kowalskiego. Nie wiem, jaki wyrok zapadł. Nie wiem też, czy Zbyszek Kowalski stanął przed sądem dla nieletnich, bo niejednokrotnie wychwalał się do Mariusza, że z każdego tarapatów wybroni go matka, która jest ławniczką w sądzie.

7 września ubiegłego roku Mariusz sam stanął przed sądem dla nieletnich. Dopiero tam dowiedziałam się, że zarzucają mu jeszcze włamania do piwnicy. Dostał dozór kuratora. W domu Mariusz na kolanach mi przysięgał, że zrobił tylko to, do czego się przyznał, i że do żadnej piwnicy nie włamał się. Nie wierzyłam mu. Miałam przecieć syna złodzieja.

Matka Mariusza znowu sięga po papierosa. „Jestem nerwowo wykończona” — usprawiedliwia się. Po chwili mówi:

— Najczęściej za złe zachowanie dzieci winą obarcza się rodziców, bo się nimi nie interesują. Ja pilnowałam Mariusza może aż zbyt przesadnie. Nikt jednak palcem nie kiwnął, aby mi w tym pomóc. Najpierw wyrzuciłam Zbyszka Kowalskiego z domu. Ale ten wyciągał Mariusza nawet wtedy, kiedy, wychodząc, zamykałam go w mieszkaniu. Przez balkon uciekał. Dorobiłam więc zamek do drzwi dużego pokoju. Bałam się, aby Kowalski nie podrzucił jakichś kradzionych rzeczy do naszej piwnicy. Zmieniłam zamek w drzwiach wejściowych do piwnicy. Dorobiłam 15 nowych kluczy do wszystkich lokatorów. Ponieważ Mariusz zaczął wagarować, prosiłam nauczycieli, by dawali mi o tym znać. Zaden, proszę pani, nigdy do mnie nie zadzwonił. Kiedyś poszli grupą na wagar i załatwili sobie zwolnienia z przychodni. Pech chciał, że właśnie przyszedł do szkoły dowiedzieć się o Mariusza. Nauczycielka powiadza do mnie, że niepotrzebnie przyszedł oso-

biście usprawiedliwić jego chorobę, bo on już przyniósł zaświadczenie. „Jaką chorobę? — pytam — on jest całkiem zdrowy”. Cała sprawa się wydała. Inni rodzice usprawiedliwili swoje dzieci, a ja nie, bo powiedziałam nauczycielce, że takich szachrajstw tolerować nie będę. Założyłam mu nawet zeszyt, aby podpisywali się w nim nauczyciele, że był na ich przedmiocie. A może ja mu tym wstydem przed całą klasą robiłam? — matka Mariusza patrzy na mnie pytająco. — Może i to było powodem, że zaczął mnie nienawidzić?

## BALLADA

Izabella Wlazłowska

Coraz częściej uciekał z domu. To było w kwietniu ubiegłego roku. Wiedział, że poszłam do szkoły. Dowiedziałam się, że znowu był na wagarach i ma dwie. Zobaczył mnie z daleka, bo grał w piłkę przed blokiem. Był w samym swetrze. Uciekł. Nie wrócił na noc. Jak zwykle, zawiadomiłam milicję. Na drugi dzień po południu przyszedł do mnie jakiś pan i powiada, że jest ojcem chłopca z tej samej szkoły i że Mariusz ukradł mu rano z szatni kurtkę. Poprosiłam go, aby złapał Mariusza, bo widziałam przez okno, jak przemykał do sąsiedniego bloku. Gdybym ja wyszła po niego, Mariusz by uciekł. Facet złapał go i przyprowadził do domu. Mariusz zdjął z siebie kurtkę i oddał mi. I zanim zdążyłam mu wlać kablem, facet wyciągnął legitymację i powiada: „Patrz szczeniaku na kogo trafiłeś”. Zamachnął się i wyrzucił Mariusza w twarz, aż ten poleciał na podłogę. To był milicjant. Zabrał Mariusza do komisariatu, a stamtąd do izby dziecka. Nie oponowałam. Odebrałam go z komisariatu po dwóch dniach.

Od września zmieniłam mu szkołę na przysposabiającą do zawodu. W listopadzie zawałił warsztaty, dostał dwie i znowu uciekł. Odebrałam go w Wigilię z warszawskiej izby dziecka. Załuję, że po świętach nie poszłam razem z nim do szkoły. Sam bał się widzieć rozmowy z nauczycielami, bo do szkoły nie poszedł i do domu nie wrócił. Przez trzy tygodnie widziałam go przez okno, jak wałęsał się między blokami. Słyszałam go na klatce schodowej. Ale musiałam go przelamać. Nie wyszłam po niego, nie wyciągnęłam ręki, by wrócił do domu. Zgłosiłam za

rzędów pracowniczych. Odeszły jak bogato wyposażone panny młode. Wszystkie większe inwestycje w przetwórstwach wchodzących w skład „Fructopolu” pochodzą ze wspólnej kiesy.

Łatwo więc i korzystniej jest odejść temu, który został w poprzednich latach wyposażony tak, jak np. zakład w Nielewcu: wypark-gigant o zdolności odparowania 14 tys. litrów wody na godzinę. To samo urządzenie otrzymał zakład w Chełmie, a obydwa po dwie prasy, każda o zdolności 20 ton jabłek na godzinę, a także nowoczesne wirówki, filtry, zbiorniki, a Nielewcu jeszcze kotłownię. Milejów otrzymał z funduszy kombinatu kotłownię, cztery prasy, wyprawkę, suszarnię wytłoków jabłkowych, dwa magazyny, dwa budynki mieszkalne i rozpoczęła budowę kotłowni. Tak wyposażone przetwórnice odchodzą z ochotą, bo same nie byłyby przedtem do tak wielkich inwestycji zdolne. Ale zobowiązania, w tym dolarowe, pozostały w spadku na koncie kombinatu.

I pewnie dlatego tak dużo kosztuje garstka porzeczek zatopiona w pektynie — przemknij przez myśl piszącemu, a chyba też czytającemu te narzekania. Ale notujmy dalej.

Największy obok milejowskiego zakład w Zagłobie otrzymał wśród inwestycji wielką chłodziń i jest zadłużony na 165 mln złotych. Jak mógłby sam spłacić taki dług? Ale gdy wyjdzie na zero, to pewnie ktoś tam wpadnie na pomysły, żeby rozstać się z matczką. Doszło do tego, konkluduje dyrektor Trus, że rano sięga po prasę, żeby dowiedzieć się, o jaki zakład zubożał w ciągu ostatniej nocy.

— To rozwiązać cały ten biznes. Niech sobie idą! — odpowiadam.

— Jestem tego samego zdania — choć raz zgadza się ze mną dyrektor

Trus. — Ale nie chcą. Tak było w Białej Podlaskiej i w Kluczkowicach. Dyrekcje chciały, samorządy nie wyraziły zgody.

Podczas tej rozmowy dyrektor Trus nie mógł jeszcze wiedzieć, że w sprawie odłączenia Kluczkowic od „Fructopolu” samorząd wyraził zgodę. Wyraził ją 27 lutego...

„Fructopol” skupia jeszcze zakłady w Zagłobie, Dysiu, Stoczku, Terespolu, Janowie Podlaskim i Parczewie. Ale należy się liczyć, że będzie ich coraz mniej. Dyrektor uważa, że ostatnim szansem będzie Gospodarstwo Rolne w Ostrowie oraz Niemce i Kraśnik. Te gospodarstwa i zakłady stanowią własną bazę kombinatu.

Tendencje separatystyczne to zaledwie wstęp do narzekania szefa lubelskiego imperium przetwórczego. Rozpoczyna się teraz wylizanka podatkowa.

— W każdym słoiku — dyrektor oskarżycielsko wskazuje także na mój słoik — jest 30 procent podatku. Do skarb państwa odprowadzamy 12 rodzajów podatków. Płacimy też podatek od podatku. Ten absurd dotyczy na przykład podatku od opakowań. Na spłatę zadłużenia państwa płacimy pięć procent od wartości majątku trwałego kombinatu. Podatek placowy, odprowadzony w ubiegłym roku z czystego zysku, kosztował nas 127 mln złotych. Podatek dochodowy to 66 proc. zysku.

Potem leżą następne, które trudno nawet zapamiętać: gruntowy (10 zł za metr kwadratowy terenu zajmowanego przez zakłady), a jeszcze drogowe i wszelkie inne.

I wreszcie eksport oraz zakupy. Eksport coraz mniej korzystny. W 1987 roku Niemcy płacili za tonę koncentratu jabłkowego 1900 marek, obecnie nie chcą płacić więcej niż 1050 marek. Państwo, w ramach popierania eksportu, dopłaca zakładowi

60 tysięcy złotych do jednej tony jako tak zwaną dopłatę rolną.

Największą zmart w są opakowania. Jest się tu całkowicie uzależnionym od ich producentów. Zaden nie chce słyszeć o sprzedaży swego towaru bez częściowej zapłaty w dewizach. Beczka drewniana na ogórki z Nowego Targu, o pojemności 50 litrów, kosztuje 6,5 tysiąca złotych, z czego połowę trzeba zapłacić w dolarach, licząc po 500 złotych za dolar! Zresztą i tak nie sprzedadzą tyle, ile wynosi zamówienie. Ostatnio Nowy Targ potwierdził dostawę dwóch tysięcy z osmiu tysięcy zamówionych beczek. Z kolei producenci beczek plastikowych o pojemności 160 litrów żądają, oprócz ceny obowiązującej w złotych, wsadu dewizowego w postaci 6,8 dolara. Ostatnio „Fructopol” podpisał umowę z „Vitrocerem” — zrzeczeniem hut szkła — na dostawę słoików: sam wsad dewizowy kosztuje 70 tysięcy dolarów.

Kiedy się tak wysłucha utyskiwań monopolisty-giganta, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to gigant na glinianych nogach pięć minut przed zgonem. Mój pusty słoik po dzemie porzeczkowym zamienia się niepostrzeżenie z oskarżyciela w oskarżonego: to istny cud, że ktoś zechciał go jeszcze napełnić jakąś bryją i wziąć za nią ledwo 230 złotych.

W dzungli cenowej, jaką stanowi rynek towarów konsumpcyjnych, ale tych naprawdę konsumpcyjnych, przeznaczonych do zjedzenia, jest tylko jedna strona zainteresowana, a nie mająca nic do powiedzenia: konsumenci. Producenci porzeczek, jabłek, truskawek czy malin jakoś tam wyjdą na swoje. Dyrektorzy zakładów przetwórczych placą i placą — i faktycznie wychodzą na swoje. Klienci sklepów nie tylko placą i placą, lecz także psoczą w żywy kamień. Biedacy, nie wiedzą, że idą czasami, w których oni sami stają się towarem,

obiektem zakupów, przetargów i licytacji: kto da więcej, komu uda się zredreć wyższą cenę, kogo oszkapic, a kogo nabić w butelkę, słoik, w beczkę.

Za rok znowu udam się do dyrektora „Fructopolu”. Nie wiem, czy przybędę zbrojny w nowe dowody rzeczowe. Nie wiem nawet, z czyjej pozycji przyjdzie mi przyrzeć się gospodarce kombinatu, cenom. Niewykluczone, że kombinat nie będzie już istniał. Wiem natomiast, że będą istniały poszczególne jego zakłady, że w sklepach napotkam ich produkty. Możliwe, że mój słoik dzemu z czarnej porzeczką będzie kosztował już nie 200 lub 230 złotych, tylko 400—500. A w Giżycku 600, bo z dodatkiem klimatycznym, turystycznym, wysokogórskim, choć to Mazury. Wszystko możliwe. Wszystko wolno, czego nie zabroniono.

W tej wolnoamerykańce naprawdę obiektywny, prawdziwy artykuł prasowy będzie musiał składać się z trzech niezależnych, logicznie i ekonomicznie wzajemnie wykluczających się opcji, pisany z trzech całkowicie odmiennych pozycji. Pozycji producenta surowców, pozycji wytwórcy oraz pozycji klienta. Są to trzy wrogie, przeciwstawne sobie światy, klasyczne marksistowskie przeciwieństwo klasowych interesów.

Jesteśmy chyba w epoce przejściowej, miejmy nadzieję, między kapitalizmem państwowym i kapitalizmem prywatnym. Państwo jako właściciel gigantycznego koncernu zwanego Polską na razie twardą ręką reguluje ceny skupu płodów rolnych i ceny artykułów spożywczych — jedne zamrażając, drugie windując pod obłądną nazwą cen umownych. Jest to usiłowanie pogodzenia gospodarki centralnie sterowanej z rynkową, czyli wolnorynkową. Pewien lubelski ekonomista nazwał te usiłowania czystą schizofrenią. I chyba ma rację.

to na milicji, że znowu uciekł. Prosiłam, by go złapali. A kiedy w sobotę 28 stycznia zadzwonił wreszcie do drzwi, dałam mu jeść, kazałam się wykapać i położyć spać. Wie pani — matka Mariusza zaczyna płakać — to był strzępek dziecka. Był brudny, mizerny. Na nogach miał rany, a ręce były posiekane do krwi. Kiedy spał, zadzwoniłam do komisariatu, że syn się znalazł. W parę minut później przyjechał radiowóz. Założyli mu kajdanki i zabrali ze sobą. Trzymali go do poniedziałku. We wtorek został do-

## O MARIUSZU

prowadzony do sądu. Trafił na starszą sędziń, a nie tę, która zwykle prowadziła z nim rozmowy, krótkie i nerwowe. Wysłuchała i mnie, pomieważ to ja zgłosiłam milicji, by go złapali, doprowadzili do sądu i umieścili w poprawczaku. Zapytała: „Nie żał pani oddawać syna do zakładu? Niech go pani zabiera do domu”.

Następnego dnia poszłam z Mariuszem do sądu, aby odnaleźć wreszcie kuratora, którego mu kilka miesięcy wcześniej sąd ustanowił. Spotkaliśmy sędziń, prowadzącą dotąd jego sprawę. Zdziwiła się: „To ty jeszcze chodzisz na wolność? Miałeś szesnaste, że wczoraj cię nie sądziłam”. Milicja zarzuciła Mariuszowi, że podczas trzytygodniowej ucieczki z domu dokonał włamań do kiosku na osiedlu, do piwnic i altanek na działkach.

„Mamo, ja tego nie zrobiłem — powiedział mi w domu. — Wysłuchałam mnie wreszcie. Przestań krzyczeć i bić mnie. Milicja zwala na mnie rzeczy, których ni zrobiłem, zmusza mnie, bym się przyznał, że zrobiłem to z jakimiś chłopakami, których w ogóle nie znam. Niczego więcej nie zrobiłem ponad to, do czego się przyznałem. Uwier mi”.

Wysłuchałam go. Boże! Włosy jeżyły mi się na głowie. A potem poszłam na milicję zapytać, dlaczego nie byłam obecna przy przesłuchiwniach syna, dlaczego nie zapoznawano mnie z protokółami jego zeznań, dlaczego bez mojej wiedzy pobierano mu dwukrotnie odciski palców, dlaczego przetrzymywano go w izbie dziecka, dlaczego...

Kiedyś kupiłam Mariuszowi magnetofon, cały czarny. Zepsuł się. Nie

chciałam go zreperować. To była kara za jego postępowanie. Któregoś dnia podczas sprzątania znalazłam w jego pokoju taki sam magnetofon, tyle że w białej obudowie. Mariusz powiedział, że kupił go właśnie za te pieniądze, które razem z Kowalskim skradł podczas włamań do samochodów. Trzymał go najpierw w szkole, bo wiedział, że w domu nie ma prawa mieć żadnej rzeczy, której mu sama nie kupiłam. Magnetofon zabrała mu wychowawczyni, ale widzi pani, nie zadzwoniła do mnie. A gdy mu oddała, przyniósł go do domu. Magnetofon i trzy kasety zaniosłam do komisariatu, mówiąc, że syn kupił to za kradzione pieniądze. Dostałam pokwitowanie. W jakiś czas później stwierdziłam, że w domu nie ma czarnego magnetofonu. Mariusz powiedział, że dał go do reperacji. Kłamał. Po awanturze przyniósł magnetofon, który był czarny, ale boki miał białe. „To nie twój magnetofon” — krzyczałam. Zaczęłam go bić ka-blem. Tłukłam go i tłukłam. Przyznał się wreszcie, że podczas przesłuchań przypisywano mu rzeczy, których nie zrobił, a za to przesłuchujący go pan powiedział, że może mu zamienić zepsuty magnetofon, który ma w domu, na nowiutki, który im oddałam. Tylko miał mi o tym nie mówić. Zamieniona została obudowa magnetofonu. Boków nie mogli jednak zamienić i dlatego poznałam że to jest nie ten, który mu kupiłam. Proszę, jeden numer fabryczny został wydrapany, ale pozostał drugi. Mam więc w domu magnetofon, który syn kupił za skradzione pieniądze, i pokwitowanie, że go oddałam milicji. Naucono Mariusza, że można korzystać z dóbr, które zdobył z kradzieży, a więc nieuczciwie, można też matkę okłamywać.

Jak to dobrze się stało, że wreszcie go wysłuchałam, że wreszcie uwierzyłam własnemu dziecku. Popelnił błąd, przyznał się do nich, czeka go jeszcze jedna sprawa w sądzie dla nieletnich. Za to, co zrobił, musi odpowiadać. Ale odzyskał moją wiarę w niego. Ja też popelniłam wiele błędów, ale już nigdy nie wydam go w ręce milicji. Będę go broniła pazurami!

### Opowieść druga

„Mamusiu, bardzo chciałbym wrócić do domu, tylko nie wiem, czy mogę... Stoję na dole i patrzę w nasze okna... Chodzę głodny i coraz proszę kolegów o kawałek chleba, bo już nie chcę kraść. Wolę chodzić głodny niż kraść... Teraz dopiero rozumiem co to znaczy nie słuchać mamy. Kiedyś mówiła

mi mamusia, że przyjdzie taki czas, że będzie za późno... Nie wiem, jak będzie ze szkołą, i tego boję się najbardziej. Chciałbym jeszcze raz spróbować... Wiem, że teraz to już pójdę do zakładu, ale chciałbym być w domu do tej sprawy. A później niech się dzieje co chce. Mamusiu, podaj mi rękę. Ostatni raz. Tylko do tej sprawy. Proszę cię bardzo...”

— Czy masz żal do matki za to, że cię biła, że tyle razy wydawała cię w ręce milicji, że mimo iż zostawiła list w drzwiach, nie wysłała po ciebie?

— Żal?... — Mariusz poprawia się na krześle. Już się przyzwyczaił do mojej obecności w tym domu. — Mamusia chciała dla mnie dobrze. Tylko nigdy nie dała mi się wytłumaczyć. Ona zawsze wiedziała, kiedy ja oszukuję, wpadała w nerwy, krzyczała... A potem, kiedy przyznałem się do kradzieży, nie chciała mi już w niczym wierzyć. Tylko krzyczała, krzyczała, że jak jestem złodziejem to...

— Dlaczego kradłeś?

— Zbyszek Kowalski miał bogato w domu. Ojciec jego pracował za granicą. Zazdrościłem mu. Kiedy przyjechał brat z wojska, namówił nas na włamanie do nowych samochodów, bo potrzebne mu były opony i części. Mówił, że odpuł mi pieniądze. Pierwszego włamanie było do malucha. Zbyszek wybił boczna szybkę i otworzył bagażnik. Zabraliśmy koło zapasowe. Bałem się wtedy. Po kilku włamaniach miałem już dosyć. Powiedziałem, że więcej nie pójdę. Zaczęli mnie straszyć, że teraz to już musi być, jak by się cała sprawa wydała, to Zbyszek zawsze matka wybroni, bo jest ławniczką w sądzie, a na mnie palcem nie kiwnie i pójdę kłobować. Kiedy na milicji przyznałem się do kradzieży, zrobiło mi się lżej. Ale od tej pory wszystkie kradzieże z osiedla zaczęła milicja zwalać na mnie. Wie pani, to było tak. Kazali mi zdjąć buty, klęknąć na stoliku i czytać wisiącą na ścianie kalendarz. Uderzenia w pięty bardzo boją. Mama i w to nie chciała wierzyć. Wejść nazywała mnie złodziejem.

Nikt mi nie chciał wierzyć. Kiedy w szkole wychowawczyni zabrała mi biały magnetofon i pytała skąd go mam, to wreszcie się przyznałem, że kupiłem go za pieniądze, które ukradliśmy razem z Zbyszkiem Kowalskim. „Ze Zbyszkiem?” — powiedziała wtedy wychowawczyni — to niemożliwe, aby Zbyszek Kowalski kradł. On jest z porządnej rodziny” — i oddała mi magnetofon.

— Mama nie chciała mi wierzyć — powiedziałeś. — A przecież oszukiwałeś

ja na każdym kroku. Mówiłeś, że chodzisz do szkoły, a chodziłeś na wagary.

— Jak się wejdzie w jedno kłamstwo, to potem nie ma już jak z tego wyjść. Nie poszedłem jednego dnia do szkoły, bo bałem się klasówki. Na drugi dzień spotkałem kolegę z sąsiedniego bloku. „Nie chodź do szkoły — powiada — u ciebie nie ma nikogo w domu, to sobie posiedzimy”. Następnego dnia było to samo i następnego. A potem bałem się już pokazać w szkole. Nie wiedziałem, jak z tego się wyplatać. Więc kiedy mama szła do szkoły, to ja już do domu nie wracałem. Ci koledzy jakoś sobie w szkole radzili, a ja byłem głupi, że ich słuchałem. Teraz wiem, że mnie wykorzystywali.

— W styczniu przez trzy tygodnie nie wracałeś do domu. Gdzie spałeś? Co jadłeś?

— Spałem na klatkach schodowych, strychach. Nie opuszczałem naszego osiedla. Kuple przyniosli mi jeść, albo przez balkon mi wyrzucali. Jeden z nich kiedyś złapał mnie za rękę i powiedział, że zaprowadzi mnie do matki. Wyrwałem mu się. Z dnia na dzień coraz bardziej bałem się wrócić do domu. Nie wiedziałem co mam powiedzieć mamie. Wiele razy stałem już pod drzwiami naszego mieszkania, chciałem włożyć klucz w drzwi, cały byłem spocony, ale... schodziłem na dół. Jeden zamek u drzwi mama zmieniła, więc kiedy jej w domu nie było, nie mogłem się dostać do mieszkania. Dłużej nie mogłem tak żyć i w sobotę rano zadzwoniłem do drzwi. Mama mi otworzyła. A wieczorem zabrała mnie milicja. Twierdzili, że włamałem się do kiosku. W poniedziałek przywieźli mnie na wizję. Kupa gapiów się zebrała. Pani kioskarka też patrzyła na mnie. Czy ona mi teraz uwierzy, że to nie ja okradłem kiosk?

— Uciekniesz jeszcze z domu?

— Nie. Po feriiach mama poszła ze mną do szkoły, bo skreślili mnie już z listy. Dyrektor wysłuchał mamę. Przyjęli mnie znowu.

— Masz przyjaciela, serdecznego kolegę? Osobę, z którą mógłbyś szczerze porozmawiać, poradzić się?

— Przyjaciela? Nikogo takiego nie mam.

— Dzisiaj jest 23 luty. Twoje urodziny. Skończyłeś szesnaste lat. Jakie masz marzenia?

— Bardzo lubię grać w piłkę nożną i chyba jestem w tym niezły. Chciałbym zapisać się do jakiegoś klubu. A marzenie? Żebym nie poszedł do poprawczaka.

(Imiona i nazwiska zostały zmienione)

# NIEPEŁNY „PORTRET”

Magdalena Jankowska

„Jestem jednak przekonany, że jakość jest, a nie tylko bywa, i że nie jest tylko odwrotnością tandety. Mimo tego i właśnie dlatego, że jestem częściowo tandetny i prawie wyłącznie tandetą odczołony”.

**Sławomir Mrożek**  
MROZEK — wiadomo — żyjący klasyk. Stalin — temat pewny dzisiaj jak żaden inny. Teatr Osterwy pod rządami dyrektora Rozhina coraz lepszy. I co z tego wszystkiego razem wynika? Ano przyjrzyjmy się zrealizowanemu tu właśnie „Portretowi”.

Najwybitniejszy z polskich dramaturgów współczesnych dostarczył tym razem utwór zgoda odmienny od tych, do jakich przyzwyczaili realizatorów i widzów, chociaż w uprawianej konwencji zdarzały mu się przecież kilkakrotnie istotne zmiany. Fakt, że dzisiaj można wiele rzeczy mówić w naturalny sposób powoduje przejście od poetyki artystycznej deformacji rzeczywistości, która bywa jednocześnie antycenzuralnym kamuflażem, do stylistycznego realizmu w doborze zdarzeń, postaci i miejsca akcji.

Nowe wcielenie pisarskie Mrożka objawia się w „Portrecie” między innymi w rezygnacji z dowolnego mieszania elementów rodzimej tradycji literackiej i historycznej, dającego w efekcie dramatyzację z pogranicza absurdu i groteski. Owo wymieszanie pozwalało wielu sztukom, jakie wyszły spod jego pióra być równocześnie komedią i przerażającą wizją naszych czasów. Najczęściej refleksja dotyczyła układu: człowiek — społeczeństwo, człowiek — polityka.

Tym razem Mrożek skupia się na relacji człowiek — człowiek, z których każdy podlega innym ideologicz-

nym uwikłaniom. Bohaterowie „Portretu” to entuzjasta Stalina, Bartodziej, i Anatol, zaciekle przeciwnik jego władzy. Stosunek łączący obydwu mężczyzn w chwili, gdy ich poznajemy, to typowy układ: kat i ofiara, gdyż Bartodziej zademonstrował kiedyś Anatola i ten dostał wyrok śmierci, zamieniony potem na długoletnie więzienie. Oprawca to więc pośredni, ale, jak często bywa w tym schemacie, cierpi z powodu wyrzutów sumienia i odczuwa przemożną chęć ekspiacji. Odszukuje więc ocalałego kolegę i... okazuje się, iż zaciekle anty Stalinista do dzisiaj nie może wyzwolić się spod wpływu tamtej osobowości i otaczającej ją atmosfery. Ujawnia się też, że od zaangażowania w politykę nie da się uciec, a z faktu, że kultowi jednostki usiłowało się czynnie przeciwdziałać, nie wynika możliwość uchronienia się przed nim.

Obydwa mężczyźni należą więc do „porażonych historią”. Historią rozumianą jako obiektywnie dziejąca się rzeczywistość, napędzana swoiście poruszającymi się trybami. Historią personalnie kojarzącą się ze Stalinem, który „był, jest i będzie — jak powiada w pewnym momencie jeden z bohaterów. — [...] Oto nasz rodzic. My wszyscy dzieci jego. Chcesz czy nie chcesz, jego krew. Nasza krew była jego, za nim, czy przeciwko niemu, ale jego, jego!”

Istnienie owego piętna psychicznego, jakie pozostawiły tamte czasy, nie mijające wraz ze zmianą kursu politycznego, to w największym skrócie problem, który wyłania się z samego tekstu. Ale, jak wiemy, przed inscenizatorem stoi prawo, a nawet obowiązek indywidualnego odczytania dzieła i wyrażenia tego stosunku środkami

scenicznymi. Na ogół zabiegi interpretacji w teatrze idą — z jednej strony — w kierunku najwnikliwszego zrozumienia intencji autora, z drugiej zaś — powiedzenia czegoś od siebie. Chodzi więc o własny głos reżysera, współgrający jednak z pisarskim timbrem, by dzieło brzmiało pełniej. Przed reżyserem stoi tym samym zadanie: „dobrze czytać sztukę i dobrze czytać rzeczywistość”. A że nie istnieje żaden modelowy sposób interpretacji jednego utworu, był każdego dramatu pomnaża się wielokrotnie w kolejnych inscenizacjach, jeżeli tylko są to twórcze przekształcenia.

Ambicji tych nie był pozbawiony autor lubelskiej realizacji. Jacek Andruki, wplatający w fabułę skonstruowaną przez Mrożka kilka scen, których intencje w większości jasno się wykladały tak w zakresie idei, jak i warsztatu: zapalenie i usuwanie zniczy dodaje przedstawieniu refleksji historyzoficznej, kobieta w czerni śpiewająca Baczyńskiego poetyzuje całość, brygada monterska oprócz tego, że dynamizuje ruch sceniczny, wnosi również coś z klimatu społecznego, który łatwo przechodzi od entuzjastycznego czynu zbiorowego do powszechnego niezadowolonia i destrukcji przez stadium biernego postuszeństwa spod znaku: „oni nam kazali”. Aby jednak pewne pomysły dobrze służyły idei dzieła, ogólny zamysł inscenizatorski musi być wypełniony we wszystkich zakresach sztuki teatralnej nośnymi myślowo środkami.

Tak dzieje się w przypadku scenografii zrobionej przez Urszulę Kubicz. Bryła, którą jest powiększona do monumentalnych rozmiarów głowa Tyrana, nieustannie obecna na scenie i organizująca jej przestrzeń, niejako rzucająca cień na wszystko, co się dzieje wokół, znakomicie oddaje sens „Portretu”. Szczególnie potwierdza to końcowa scena, w której głowa, rozpadająca się w czasie przedstawienia na trzy pionowe elementy, nie daje się

złożyć we właściwą całość, gdyż środkowa część zostaje zmontowana odwrotną stroną. Wykładnia tego zabiegu, przez to, że niejednoznaczna, wzbogaca przesłanie dramatu.

Wszystko, o czym dotąd powiedziałam, wydaje się składać na spójną stylistycznie i znaczeniowo kreację. Ale sztuka sceniczna nigdy się nie spełnia w najwyższym kształcie, jeżeli najwyższej nawet koncepcji inscenizatorskiej nie współtworzy aktor — najczulszy instrument wygrywania wszelkich znaczeń. I w tym miejscu zaczynają się moje zastrzeżenia do spektaklu. Wydało mi się, że wykonawcy — generalizując na wstępie — mienili się w aktorstwie z nową stylistyką Mrożka, w której do głosu dochodzi psychologizm postaci bliski realizmowi, gdzie zamiast idei w ludzkich postaciach — jak często u niego dotąd bywało — występują po prostu, ludzie. Nie podchwycili również — jak mi się wydaje — pomysłu reżysera na utrzymanie aktorstwa w stylu „wczesnego Mrożka”, kiedy ludzie są marionetkami poruszonymi dziwnym układem przypadków, przedstawicielami zwalczających się konwencji, reprezentantami odmiennych postaw. Tu ten wybór się nie dokonał. Wykonawcy używają trochę przypadkowo dobranych środków ekspresji, utrudniając tym widzowi zrozumienie postaci. Stąd zaprezentowana na scenie rzeczywistość nie jest ani przekonująca ani przejmująca, wobec czego widz, chyba do końca, pozostaje biernym oglądaczem. Nie wierzy w dramata sugerowany mu ze sceny dialogiem i nie jest w stanie współprzeżywać go.

Spół korzystnych okoliczności nie złożył się niestety na kształt doskonały. Może to tylko zespół aktorski miał swój zły dzień? Może wszyscy odczuwamy przesyt obrachunkową tematyką i stąd eskalacja żądań co do artystycznej jakości kolejnej wypowiedzi w tej sprawie?

## KUROPATY — NASZ BÓL

Niedawno za pośrednictwem agencji prasowych świat obiegła złowroga nazwa: Kuropaty. Ta mała białoruska miejscowość stała się przed pięćdziesięciu laty mogiła zbiorowa tysięcy ludzi wymordowanych przez NKWD, z rozkazami stalnowskimi oprawców. W Kuropatach stanął ma w przyszłości pomnik ofiar stalinizmu, symbol grozy tamtych czasów i tragedii ludzi idących w nieznaną z niewiadomych powodów...

Publikujemy tekst z prasy radzieckiej o Kuropatach, przedstawiający m.in. wyniki badań specjalnej komisji rządowej powołanej do zbadania okoliczności masowych egzekucji.

**R**ADA Ministrów Białoruskiej SRR podjęła decyzję o uczczeniu pamięci ofiar masowych represji w latach 1937—1941, dokonywanych w leśnym masywie Kuropaty. Zostanie tam wzniesiony pomnik. Wydawnictwo „Białoruska Encyklopedia Radziecka” przygotowało ma do druku Księgę Pamięci. Obowiązek wszechstronnego zbadania przyczyn i konsekwencji masowych represji, dokonywanych na Białorusi w okresie kultu Stalina, powierzono naukowcom Białoruskiej Akademii Nauk.

Mińęło ponad pół roku od chwili, gdy we wszystkich zakątkach kraju gromkim echem zabrzmiało słowo: Kuropaty. Od tego czasu z trwogą obracamy naszą uwagę na ten niewielki kawałek lasu na wschodnich obrzeżach Mińska, gdzie pięćdziesiąt lat temu każdego dnia rozdzierały ciszę głuche strzały, gasząc życie jedno po drugim. Czyje życia? Kto stawał na skraju

bratniej mogiły? I kto przystawiały nagan do skroni swojej ofiary, beznamieńnie naciskał spust?

Odpowiedzi na te i inne pytania poszukiwali, z polecenia specjalnej komisji państwowej, czołowi przedstawiciele republikańskiej prokuratury, funkcjonariusze KGB, pracownicy archiwów, uczeni. Wykonano ogromną pracę: ujawniono osiem zbiorowych mogił, dokonano około stu czterdziestu rozmaitych ekspertyz i badań, włącznie z laserowymi; odszukano i przesłuchano blisko 200 świadków. Co udało się wyjaśnić? Oddajmy głos dokumentom.

Z wniosków analiz kryminalistycznych grobów w lesie Kuropaty: „...Stwierdzono, że na terytorium około 30 hektarów znajduje się 510 przypuszczalnych mogił o charakterze zagłębień o głębokości do 50 centymetrów oraz rozmiarach 2 na 2,5 metra i 4 na 5 metrów... W sześciu zagłębieniach znaleziono szczątki ludzkie w po-

staci 313 czaszek, znacznych ilości innych kości szkieletu, 340 protez zębowych z białego i kolorowego metalu. Odkopano wiele rzeczy osobistych: grzebyków, szczoteczki do zębów, mydelniczek, portmonetek, pierścionków, łańcuszków, medalików, kubków, fragmentów obuwia i odzieży, a także 177 łusek i 28 kul... Wiek pochowanych ludzi — od 20 do 60 lat.

Na 227 czaszkach ujawniono rany postrzałowe. W 192 przypadkach strzałów dokonywano w tył głowy, w pozostałych — w okolice ciemieniowo-skroniowe... Ilość ran postrzałowych, ich kierunek i położenie świadczą o tym, że dokonano ich za pomocą pojedynczych wystrzałów...

Analiza odkopanych w grobach fragmentów odzieży, obuwia, innych przedmiotów i rzeczy osobistych daje podstawę sądzić, że skład socjalny rozstrzelanych był dość szeroki — od prostych chłopów do członków zamożniejszych warstw społeczeństwa. Przesłuchano w śledztwie 55 naocznych świadków wydarzeń — mieszkanców okolicznych wiosek. Ustalono, że rozstrzelania zaczęły się tu w 1937 roku i trwały do lata 1941”.

Według danych Komisariatu Wojskowego Białoruskiej SRR, na tym terenie nie ma mogił żołnierskich. Nie odnaleziono również, pomimo usilnych poszukiwań, żadnych materiałów archiwalnych dotyczących wydarzeń w Kuropatach.

Wnioski komisji: W leśnym masywie Kuropaty w latach 1937—1941 NKWD przeprowadzała masowe rozstrzelania obywateli radzieckich. Przyjmując, że w każdej z odkrytych mogił znaleziono szczątki kostne należące do 50—60 ludzi, można wnosić, że w tym rejonie pochowano nie mniej jak 30 tysięcy ofiar. Na podstawie wybiórczej ekshumacji nie da się określić tej liczby z większą dokładnością. Nie ma, na razie, również możliwości określenia tożsamości zamordowanych, motywów kaźni ani nazwisk oprawców.

Komentarz zastępcy przewodniczącego Komisji Państwowej, prokuratora Białoruskiej SRR G. Tarnawskiego:

„W centralnej prasie pojawiły się doniesienia o zamknięciu śledztwa i przerwaniu tej ważnej działalności. Chcę oświadczyć, że nasze prace będą kontynuowane — wykorzystamy wszystkie możliwości dla ustalenia nazwisk poległych, szczegółowych motywów zbrodni, nazwisk jej sprawców.

Na zakończenie chciałbym jeszcze raz poprosić wszystkich, którym cokolwiek wiadomo o tragicznych wydarzeniach w Kuropatach, o zgłaszanie tych informacji do naszej komisji lub do prokuratury”.

**E. Gorelik**  
„TRUD” — organ Centralnej Rady Związków Zawodowych ZSRR  
27.01.1989  
Tłumaczył: Leszek Wiśniewski

Zgodnie z zapowiedzią, rozpoczynamy druk wspomnień byłych więźniów Zamku i innych lubelskich miejsc kaźni z lat 1944—54. Publikujemy je z przewidzeniem, że przy braku dokumentów (albo też niemożności dostępu do nich) staną się materiałem źródłowym dla historyków i wszystkich tych, którzy sechą podjąć trud dokumentacji tego okresu naszych dziejów, pozostającego do dziś „białą plamą”. Dziękując tym, którzy odpowiedzieli już na nasz apel, zwracamy się z prośbą o współpracę do wszystkich świadków tamtych dni.

Zbigniew Miazga

Od Puław do Wronek

**B**YŁEM żołnierzem w oddziale lotnym Armii Krajowej w Okręgu Puławskim, dowodczym przez „Niecponia”. W 1943 r. jako 18-letni chłopak wcielony zostałem przez Niemców do „junażków”. Wykonywali różne roboty budowlane na terenie Puław. Po ucieczce z obozu przy-

łączyłem się do oddziału „Zapory”. Ale już niedługo przyszło wyzwolenie. Zgłosiłem się do wojska polskiego, ale nie zostałem przyjęty ze względu na stan zdrowia. Podjąłem pracę w straży kolei. W lutym 1946 r. zostałem aresztowa-

## LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

wany przez Urząd Bezpieczeństwa i osadzony w areszcie przy ul. Krótkiej w Lublinie. Dlatego, że byłem w mundurze, udało mi się zmylić wartę i przysnąć. Pomny złożonej przysięgi, a także dlatego, że musiałem ukrywać się, nawiązałem kontakty z oddziałem

„Zagony” w Nałęczowie. Nie prowadziliśmy żadnych akcji bojowych, naszym zadaniem była obserwacja przygotowań do wyborów zapowiadanych na 1947 r. Na skutek zdrady wygarnięj zostaliśmy przez UB. Zamknięto

nas w celach znajdujących się w piwnicy puławskiego Urzędu Bezpieczeństwa.

Pierwsze przesłuchanie zaczęło się od pytania o imię, nazwisko i przynależność do AK. Gdy potwierdziłem

to, a nie przyznałem się do posiadania broni, rozpoczęło się bicie. Na początek kilkadziesiąt razy grubą pałką w goły tyłek. Później posadzony zostałem na rozpaloną do czerwoności blachę. Kiedy indziej przycinano mi

palce rąk w drzwiach, torturowano też prądem kierowanym w uszy. Po utracie przeze mnie przytomności przelichujący łali na głowę kuba wody. Gdy któryś z aresztantów prosił o coś do picia, śledczy, stosując przymus, lał takiemu wrzątek do ust.

# ZMARTWYCHWSTALI W PAMIĘCI

**L**UTY 1989. Zima zupełnie nierosyjska. Droga: Witebsk — Smoleńsk wlecze się po świerkowych lasach, poprzetykanych tu i ówdzie strugami i oczkami jezior. Senny białoruski krajobraz, w zgodzie z usposobieniem tutejszych ludzi. I naszego nastroju, smętnego nastroju zimowego poranka.

Nie było w Witebsku białych goździków. Nie zrobiliśmy bukietów. Zostały przydziałowe, wycieczkowe wiązanki. W naszej, przypadkiem dobranej grupie turystycznej są trzy osoby, które tam mają bliskich. Wiozą kwiaty z Polski.

Polana. Drzewa niestare, pięćdziesięcioletnie. Cztery betonowe, poziome płyty bez napisu. Za nimi prostopadłościenny niewielki monument, informujący, że w tym miejscu zostanie wybudowany kompleks pomników upamiętniających śmierć polskich oficerów. Mur z marmurowymi płytami i napisami po polsku i rosyjsku... Za murem — dębowy krzyż. Na nim wyryty napis: „W tym miejscu zostanie wzniesiony krzyż upamiętniający śmierć polskich oficerów”. Dalej jest już tylko parkan. „To żeby ludzie nie chodzili po prochach, nie śmiecili, nie zbierali grzybów” — powie pilotka z Witebska.

Jest cicho. Bardzo cicho. Pod krzyżem wyrósł już kopczyk kwiatów i palą się znicze. A ja się spóźniłem, aparat fotograficzny okrada mnie z czasu. Stoję na skraju polany, nie przerywam głośnej modlitwy.

Potem jest milczenie. W tym milczeniu wracamy na śliską dróżkę. Może oni wtedy tą dróżką wstępowali na swoją ostatnią drogę?... Jeszcze ktoś robi zdjęcie, jeszcze ktoś się odwraca, jakby to miało uwrażliwić pamięć, ktoś inny przeciera twarz rękawem kurtki.

I to wszystko. Robi się zimno.

W ciszy wsiadamy do autokaru. Do Smoleńska zostało czternaście, do Polski — sześćset kilometrów...

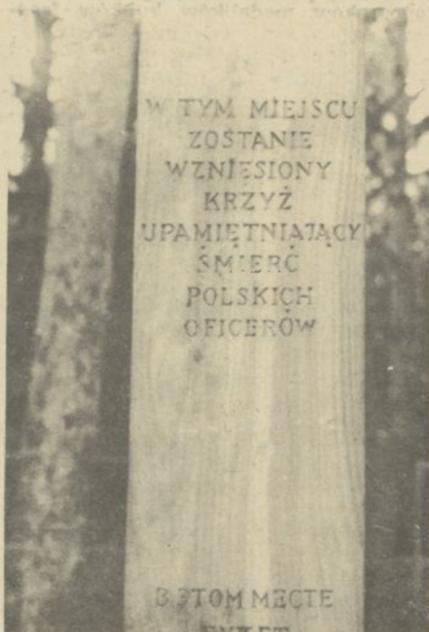
Leszek Wiśniewski

Niektórzy z torturowanych przyznawali się do stawianych zarzutów, mieli bowiem nadzieję na zaprzestanie męczarni i — obiecywany zresztą — łagodniejszy wyrok. Było jednak inaczej, prowadzący śledztwo wykrzykiwali wtedy: „Skoro tyle powiedziałeś, to ty jeszcze więcej wiesz!”. I wszystko zaczynało się od początku.

Sądzeni byliśmy w starostwie w Puławach. W czasie rozprawy leżałem, bokiem, na ławce. Nie musiałem nawet tłumaczyć sądowi, że jestem pobity, że mam spalone pośladki. Mój obrońca z urzędu, por. Jakimiński, w swojej krótkiej mowie prosił tylko o niski wyrok, uzasadniając to moim młodym wiekiem. Pamiętam wyroki, jakie wydał z art. 86 i 88 ten Rejonowy Sąd Wojskowy. Porucznik Niezabitowski, ps. Kruk, a także Osiecki i Kozak (imion nie pamiętam) dostali karę śmierci. Boreczek — 12 lat, Walencik — 10 lat. Ja skazany zostałem na 6 lat więzienia. Na skazanych na karę śmierci wyrok został wykonany. Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Jeszcze w Puławach, parę dni po spr-



Repr. Waldemar Stępień



Fotografował Leszek Wiśniewski

wie, wizytował nasz areszt gen. Rola-Zymierski. Na pytanie, dlaczego nie wstaje, odpowiedziałem, że pobity zostałem w czasie śledztwa. Nie powiedział nic, ale po tej wizytacji przeniesieni zostaliśmy z lochu i po raz pierwszy od wielu dni dostaliśmy jedzenie — śledzie i chleb.

Wyrok odsiadywałem najpierw na Zamku w Lublinie, początkowo w baszcie, gdzie przechodziło się kwaran-tannę. W jednym kręgu leżało nas 50—60 ludzi. Na komendę któregoś przekladał się na drugi bok. Starszym celi był kryminalista T. Po tygodniu trafiłem na II oddział, w południowym skrzydle Zamku. Nasza cela, kilkudziesięciosobowa, sąsiadowała z celami pojedynczymi, w których trzymani byli więźniowie z wyrokami śmierci. Porozumiewaliśmy się z nimi „telegrafem więziennym”, stukając w ścianę, i stąd wiem, że byli to ludzie z podziemia. Tutaj starszym celi był kapo z Majdanka, Józef M., któremu karę śmierci zamieniono na dożywocie, a z tego, co wiem — po odsiedzeniu 11 lat w Strzelcach Opol-

skich wyzwał na wolność. W naszej celi znajdowali się również oficerowie I dywizji Wojska Polskiego, ale za co akurat siedzieli — nie było wiadomo, niikt nikomu bliżej nie zwierzał się. Także dlatego, że nie brakowało „kapusiów”, przetrzucanych z celi do celi więźniów kryminalnych, którzy za jakieś tam obietnice inwigilowali.

Wyżywienie: na śniadanie 20—25 deko chleba, pół litra kawy przyrządzonej z palonego chleba; na obiad — litr parowanego zryta lub barszcz z opasowych buraków (sama ciecz), na kolację — zupa z obiadu. W czasie pobytu na Zamku miałem tylko jedno widzenie z matką. Otrzymałbym od niej lojem leczylem poparzone w śledztwie pośladki. Bo żadnej opieki lekarskiej nie było.

W maju czterdziestego szóstego (wraz z około setką innych więźniów), zaopatrzonego w bochenek chleba i dwie łyżki cukru, znalazłem się w ciężarówce. Konwój obstawiony był samochodami, na których znajdowały się karabiny maszynowe. Gdy zapytałem straż-

nika — „gdzie jedziemy”, usłyszałem odpowiedź: „Na Sybir”. Uwierzyłem. Zatrzymaliśmy się jednak w Siedlcach i po nocy spędzonej w miejscowym więzieniu powiezieni zostaliśmy w stronę dworca kolejowego. Mijani cywile, pokazując na nas, pytali żołnierzy-strażników: „Kim oni są?” — „To Niemcy” — padała odpowiedź. Wtedy jeden z więźniów jakimś cudem przemyconą czerwoną kredką napisał na kawałku papieru: „Jesteśmy żołnierzami AK” i kartkę tę upuścił na bruk. Zaczął się tumult. Za nami zatrzaśkiwały się już jednak drzwi bydlęcych wagonów pociągu, który powieź miał nas do Wronek.

Na wolność wyszedłem dzięki amnestii, ogłoszonej po wygranych wyborach w 1947 r. Na odzyskanie praw obywatelskich (pozbawiony ich miał kłopoty ze znalezieniem gracy, doświadczając innych dolegliwości) czekać musiałem pięć długich lat.

Były żołnierz AK, ps. Jurek  
(nazwisko i adres  
do wiadomości redakcji)

RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH,  
PROF. EWA ŁĘTOWSKA, PRZEDSTAWIŁA SPRAWOZDANIE...

# I SZCZEKAĆ I GRYZĆ

Romuald Wiśniewski

**N**EWIELE jest krajów na świecie, w których tak liczne jak w Polsce instancje i instytucje, zajmowałyby się przyjmowaniem skarg od obywateli, występowały w ich sprawie. A jednak zrodziła się potrzeba utworzenia jeszcze jednej — Rzecznika Praw Obywatelskich (RPO), powołanego przez Sejm, niezawisłego, o bardzo szerokich uprawnieniach. Podobne ciało ma już swą praktykę w kilku innych krajach. Czy powołanie RPO oznacza, że było aż tak źle, czy przeciwnie, jest to znak rozwoju demokracji?

Po roku działalności Rzecznik Praw Obywatelskich, prof. dr Ewa Łętowska przedstawiła sprawozdanie.

Dowiadujemy się też, że do RPO zgłoszono 49 713 wniosków (w tym 5 400 ustnie). Personel RPO liczy 63 osoby, etatów jest jednak tylko 55 i 1/4, gdyż nie wszyscy pracują w pełnym wymiarze godzin.

Dla porównania: w tymże czasie do podobnej instytucji w Szwecji (choć zakres uprawnień tam jest nieco inny) zgłoszono 3 456 spraw, zaś personel liczy 52 osoby, we Francji 4 316 spraw — personel 54 osoby, w Anglii (ombudsman parlamentarny) 1 031 spraw (88 zatrudnionych).

RPO zarejestrował 33 620 spraw (z tego wniosek, że część zgłoszonych odrzucono, jako zaadresowane niewłaściwie). Rozpoczęto działania w ok. 10 tys. spraw (31 procent zarejestrowanych), podjęto — 3 286 (inne przekazano według właściwości lub udzielono wyjaśnień). Zakończono ostatecznie 1 015 spraw, przy czym zakończono pozytywnie całkowicie lub częściowo dla wnioskodawcy — 463 (statystyka ta nie uwzględnia spraw załatwionych dla osób indywidualnych poprzez podjęcie działań generalnych). Nie uwzględnia też udzielanych informacji o stanie prawnym, udzielonych wyjaśnień itd.

Biuro RPO podzielone jest na siedem zespołów tematycznych. Najwięcej skarg wpłynęło do zespołu wymiaru sprawiedliwości, bo aż 24 procent wszystkich i tyleż do zespołu prawa pracy, najmniej — do zespołu oświaty, nauki i służby zdrowia, bo tylko 3 procent.

Warto przypomnieć, iż RPO nie ma na celu wyłączenia organów przedstawicielskich, czy opieki społecznej, nie zajmuje się ułatwianiem dostępu do żadnych trudnych do osiągnięcia dóbr czy ich rozdziałem. Nie obejmuje swą kompetencją wszystkich naruszeń prawa (zwłaszcza w sporach pomiędzy obywatelami), a tylko naruszenie prawa i wolności obywateli przez władzę. Kieruje się przy tym nie tylko zasadami legalności, lecz i sprawiedliwości społecznej, i z tego tytułu może też oceniać treść samego prawa.

RPO nie ma prawa łaski, nie ma prawa wnoszenia rewizji nadzwyczajnych od wyroków sądów wojсковых, nie może naruszać niezawisłości sędziowskiej, wiązać go upływu terminów i ograniczenia dowodowe.

RPO nie ma obowiązku przyjmowania każdej zgłaszanej sprawy, nie ma obowiązku udzielania odpowiedzi w określonym terminie, nie jest bowiem instancją skargowo-interwencyjną.

Przy tych wszystkich zastrzeżeniach,

zdawać by się mogło, iż Rzecznikowi Praw Obywatelskich pozostaje niezbyt szerokie pole do popisu. A jednak okazuje się ono obszerne; nasza trudna codzienność rodzi u obywateli przekonanie o doznanej krzywdzie, jakże często słuszne.

**W**PIERWSZYM roku działania RPO w Polsce wpłynęło do niego tyle spraw, ile w Szwecji przez lat 17, 11 razy więcej niż we Francji lub Danii i aż 47 razy więcej niż wpływa w ciągu roku w Anglii.

W tradycji, która już się wytworzyła w krajach, gdzie podobna instytucja istnieje, od rzecznika oczekuje się wyrażenia zdania, ale nie załatwienia sprawy. Polski rzecznik, wobec nawalu spraw, musi wybierać najważniejsze, powtarzalne — ale jednocześnie wie, że społeczeństwo oczekuje odeń także działań egzekucyjnych. Prof. Łętowska określa to tak: rzecznik to pies, który ma głośno szczełać, lecz nie wolno mu gryźć; polski rzecznik ma i szczełać i gryźć.

Przedstawia też kilka zasad, które przyjęła. A więc, w naszych warunkach, działaniem swym RPO nie powinien prowadzić do wzrostu napięcia, lecz napięcia łagodzić. Skłaniać do działania przy pomocy imperio rationis, czyli siły argumentów, a nie ratione imperis, czyli argumentu siły. RPO kieruje się zasadą stopniowania środków działania, od najtańszych do katarygicznych. Nie wkracza w politykę, a sygnalizując uchybienia nie podpowiada jak daną sprawę rozstrzygnąć, rozdziłoby to bowiem chaos kompetencyjny. Uznaje ponadto zasadę subsydiarności; nie działa tam, gdzie nie wyczerpano drogi prawnej lub gdzie podjęto już interwencję na innej drodze. Działanie zaś swe polski RPO prowadzi na dwóch płaszczyznach: jedna — to konkretne sprawy obywateli, druga — to działania generalne, dotyczące ogółu lub większych grup społecznych.

Warto przyjrzeć się niektórym sprawom.

Przyjęto ponad 1000 spraw dotyczących prawa do przynależności do ZBoWiD i związanych z tym przywilejów socjalnych. Ciągłe jeszcze zgłaszają się po nie osoby, które dotychczas tego nie czyniły. Powstają spory, czy mają do tego prawo, czy nie. Okazuje się, że nie wszystko jeszcze jest rozstrzygnięte formalnie. Zastrzeżenia wzbudza niepełna lista hitlerowskich obozów, w których pobyt uznawano za przynależność do ZBoWiD. Wylania się ostatnio problem obywateli polskich represjonowanych przez władze radzieckie po 17 września 1939. Rozpatrywano też dwa wnioski dotyczące partii politycznych, sześć — rejestracji stowarzyszeń, dwa — zebrań założycielskich.

Dwa procent skarg obejmują sprawy paszportowe. Podjęto 240 spraw, z czego 86 zakończono pomyślnie dla wnioskodawcy. Prawo zezwala organom paszportowym na niewydanie paszportu bez oodania konkretnego powodu, ale RPO stwierdził, że to, co miało być wyjątkiem, stało się regułą. Ponadto niemal zawsze załatwiano negatywnie osoby zgłaszające chęć wyjazdu na stale — co powodowało, że

aby otrzymać paszport, zmuszone one były do kłamliwych oświadczeń.

Wpłynęło 166 spraw dotyczących służby wojskowej, pozytywnie załatwiono 24. Jest tu wyraźny podział na odmowę służby z jakichś powodów wewnętrznych (religijnych, moralnych itp.) oraz na chęć uniknięcia służby przez młodych rolników, których nie ma kto zastąpić w gospodarstwie. Trudne to czasem do ustalenia, RPO stwierdza, że MON wnikliwie bada każdą sprawę, lecz kryteria powinny być jasniejsze.

Sprawy wykroczeń (1 procent skarg). Często jedynym świadkiem jest funkcjonariusz MO, który zarazem oskarża. Kolegia z zasady nie dają wiary obwinionemu, obciążają go obowiązkiem udowodnienia braku winy, choć powinna obowiązywać zasada domniemanie niewinności. Tylko co 14 ukarany w postępowaniu przed kolegiem odwołuje się, co oznacza brak wiary w celowość odwołania (mimo że aż 52 proc. zaskarżonych orzeczeń w postępowaniu odwoławczym uznano za ważne).

Pięć procent złożonych skarg do RPO dotyczy rewindykacji majątkowych, zwłaszcza wynikłych z naruszenia praw obywatelskich przy stosowaniu ustawy z lutego 1958 o przejęciu na własność państwa przedsiębiorstw pozostających pod zarządem państwowym. Wydano wówczas wiele niezgodnych z prawem decyzji administracyjnych, które prawo zezwala uchylić w każdej chwili, lecz nie czyniono tego. Upaństwowiono niejedyn obiekt, który nie powinien być upaństwowiony. Ostatnio zajmował się tym Sąd Najwyższy, kwestionując kilkanaście decyzji (m.in. w sprawie budynku Seminarium Duchownego we Włocławku).

Rosnącą tendencję mają sprawy z zakresu prawa pracy (ok. 24 proc.). Osoby zwalniane z pracy traktują to jako represję, lub w rzeczywistości są represjonowane za postawy nie odpowiadające kierownictwu. RPO ma poważne trudności, bo los nawet przywróconego do pracy nie jest łatwy. Pozostaje tylko wskazywać na uchybienia prawne oraz zwracać uwagę na niewłaściwość polityki kadrowej, a także na nadużycia prawa przysługującego pracodawcy. Wiele jest zarzutów na niesprawiedliwość rentowo-emerytalną i częstokroć kryje się za nimi skarga na „niesprawiedliwość” inflacji, czemu RPO nie jest w stanie zaradzić.

Sprawy mieszkaniowe (ok. 12 proc. wpływu) wynikają z bardzo napiętej sytuacji i niemożności egzekwowania prawa, bo np. nie można wykonać wyroku eksmisyjnego z powodu braku lokalu zastępczego. Przepisy nakazują przydzielanie mieszkań osobom kończącym studia z wyróżnieniem. Co mają robić władze terenowe i przedsiębiorstwa, gdy taki wybitny absolwent szuka pracy? Ano, nie mając dla niego mieszkania, nie chcą zatrudniać, wola absolwenta z gorszymi wynikami, wobec którego nie ponoszą nadzwyczajnych zobowiązań.

Inna sprawa, którą zajmował się RPO, to osoby bez stałego miejsca zameldowania i miejsca pobytu. Okazuje się, że jest ich немало. I nie musi być to żaden margines społeczny. Wskutek różnych okoliczności życiowych (np. rozvodu) i przyznania przez sąd całego mieszkania jednemu z małżonków, ten drugi może pozostać bez dachu nad głową.

Sprawą, która odbiła się szerokim echem, było wymierzenie wyższych czynszów osobom, które wykupiły na własność mieszkania od państwa. Było to oczywiście bezprawie, wbrew zawartej wcześniej umowie kupna — sprzedaży, stąd wystąpienie RPO do

Sądu Najwyższego — i to dwukrotnie, bowiem administracja, mimo orzeczenia sądowego, kontynuowała swe praktyki.

W sprawach mieszkaniowych RPO stwierdził, iż terenowe organy administracji państwowej uciekają wyraźnie od podejmowania klarownych decyzji, czyli od odpowiedzialności.

Dwanaście procent skarg do RPO dotyczy spraw gospodarczych. Najwięcej zgłoszeń dotyczyło działalności PZU, nieodpowiednio przeliczenia zagranicznych rent gromadzonych w walutach, zbyt wysokich kosztów manipulacyjnych pobieranych przez banki przy operacjach walutowych czy zaniżonych rent dla wdów po osobach zatrudnionych za granicą i tam zmarłych. Obywatele sprzeciwiają się też drastycznym różnicom cen za usługi komunalne, pobieranym przez różne przedsiębiorstwa. Zalano się na nieodpowiednie odnoszenie się władz do złożonych u nich depozytów (dość znana sprawa WUSW w Krakowie). Zwracano uwagę na niezasadnione przywileje pewnych grup, czy osób. Osoby korzystające z pomocy społecznej pisały, iż prowadzona jest zbyt wieloma torami (ZOZ, PCK, PKPS, TPD i in.), przez co jeden podopieczny korzysta dużo, inny za mało. Ogólny spadek stopy życiowej społeczeństwa wyostreza ważność problemu.

RPO wystąpił też z wieloma inicjatywami ustawodawczymi, jak odszkodowanie za nieruchomości w Warszawie, odszkodowanie za mienie pozostawione za Bugiem (zwrócił uwagę, iż brak jest banku danych, a władze cechują bierność oczekiwanie na ządania obywateli), czy zrównanie rzemieślników w prawach do rent z innymi grupami zawodowymi. Zasygnalizował Radzie Państwa kwestie prawnego reżimu partii politycznych w Polsce.

Odstąpił natomiast RPO od podjęcia wniosku do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie pluralizmu politycznego, uznając, iż istnieją dostateczne regulacje prawne do rozpatrywania sprawy.

**N**IE sposób wymienić wszystko, czym zajmował się Rzecznik Praw Obywatelskich w roku 1988. Ciągłe wszak można stawiać pytanie, czy przy istnieniu tylu instytucji, które powinny dbać o praworządność, potrzebna jest jeszcze i ta, czy gdyby nie RPO, obywatele nie wniesliby tych spraw gdzie indziej, nie uzyskali tego samego? Czy to co uzyskano, uzyskano dzięki istnieniu Rzecznika, czy raczej dzięki demokratycznym przeobrażeniom w kraju? Publicystka „Trybuny Ludu” napisała, że gdyby właściwie pracowała rada narodowa, na którą ona głosowała, to nie byłby potrzebny żaden rzecznik, ponieważ ta rada narodowa winna być nieugiętym obrońcą praw swych wyborców. Podobne zdanie mogłoby z powodzeniem okazać się w każdym piśmie opozycyjnym. Rzeczywistość jednak jest taka, że na rady narodowe obywatel raczej nie liczy. Może w przyszłości będzie inaczej? Na razie 49 713 zgłoszeń do RPO w ciągu 10 miesięcy i 10 dni mówią za siebie.

Co może najbardziej niepokoić, to uwaga prof. Łętowskiej, iż w znacznym procencie obywatele, zgłaszając się do rzecznika, występują nie w roli domagających się swych praw (nawet jeśli są one wyraźnie naruszone), lecz jako proszący o pomoc, wstawianictwo... Nie ja mam prawo i domagam się, lecz uprzejmie proszę... Łata samowoli i nieposzanowania prawa przez różne agendy władzy wyłobily głębokie bruzdy w świadomości społecznej.

## LISTY — POLEMIKI

Proponuję Państwu temat, z którym nie mogę sobie poradzić sama. Sprawa dotyczy akcji przeprowadzonej przez polski wywiad w okresie międzywojennym na Białostoczyźnie. O akcji tej powiedział mi jej uczestnik, który już nie żyje. Pokazywał mi różne materiały, m.in. miesięcznik czy kwartalnik, o którym zapamiętałam tylko to, że wyglądał podobnie jak „Nowe drogi” i wydano go w okresie tzw. odwilży. Zagięły mi sporządzone wówczas notatki.

Co zapamiętałam z przebiegu tej akcji? Otóż z Sokółowa Podlaskiego (lub z Bielska Podl.) wyruszyła grupa wywiadowców, przebranych za chłopów odbywających pielgrzymkę. Wywiadow-

cy byli obnażeni do pasa i biczowali się wzajemnie. Czynili wszystko, aby głośnym płaczem, modłami, leżeniem „krzyżem”, nabożnymi śpiewami i dowolnym pochodem nadać wielki rozgłos swemu zamierzeniu. A celem ich było, o czym wszem i wobec glosili, ukrzyżowanie objawionego w jakiejś wsi „Chrystusa”.

Był to czas wielkich prowokacji politycznych, o których dziś wiemy, że w ZSRR wymiotły do gulagów inteligencję rosyjską, a w Polsce przybrały m.in. charakter walk religijnych z broniącym swych zabobnych zdobywcy prawosławie. Wobec masowego nawrotu Polaków-unitów do kościoła katolickiego prawosławni objawili swego „Chrystusa”, który chodził po wsiach i groził wiecznym potępieniem wszystkich katolików. Obok niego pojawiła się także „Matka Boska”, prosząca o

zachowanie prawosławnej wiary. Wywoływali wielkie zbiegowiska i niepokój wśród mieszkańców Białostoczczyzny, do których wówczas nie docierała nie tylko radiofonia, lecz także zwykłe gazety. Polska administracja była wobec ich poczynań bezsilna.

W miarę zbliżania się pielgrzymki „Chrystus” wykazywał coraz większy niepokój, wytrzymał jednak do ostatniej chwili. Dopiero gdy pielgrzymka wkroczyła do jego obojścia, przeskoczył przez płot i skrył się w kartofli-sku. Wywiadowcy, udając, że go nie widzą, odprawili różne ceremonie, potem wyruszyli, glosząc ludziom, że prawdziwy Chrystus by przed ukrzyżowaniem nie uciekł. Chłop udający Chrystusa gdzieś się zawieruszył bez wieści. Kobieta udająca Matkę Boską widziano po wojnie w Grodnie, gdzie

była przodownią pracy w zakładzie włókienniczym.

Przeprowadzona w ten sposób akcja polskiego wywiadu wyciszyła wszystkie prowokacje na tle religijnym. Polacy-unicy — zruszczeni przy pomocy kozackich nahajek, podstępny, groźby Sybiru i carskich ukazów — mogli spokojnie przyznawać się do swej wiary i narodowości.

Sądze, że jest to temat aktualny w związku z licznymi publikacjami głoszącymi kłamliwie, że kościół unicki to kościół ukraiński (unicki = grekokatolicki = ukraiński). Przypomnienie męczennictwie śmierci tysięcy Polaków-unitów powinno stać się ostrzeżeniem przed ponownym posłużeniem się wiarą dla celów nacjonalistycznych.

(Nazwisko i adres  
do wiadomości redakcji)

# W STRONĘ WILEŃSZCZYZNY

**P**OSZUKIWANIE prawdy określającej naszą odrębność i tożsamość, prawdy ocalającej świat naszych wartości przed powszechną dehumanizacją, przybiera w literaturze różne kształty. Obszar między magiczną enklawą dzieciństwa a „wiekiem męskim” jest jedną z możliwości zrealizowania tych pragnień. Dla wielu pisarzy to epizod, początek lub koniec literackiej drogi życia, dla innych — wieczna wędrówka, „powrót po kole do punktu, z którego się wyszło”.

Twórczość Tadeusza Konwickiego oscyluje niemal w całości wokół pojęcia „Wileńszczyzna”. Ta mityczna czasoprzestrzeń, do której nie ma fizycznych możliwości powrotu, materializuje się jedynie na kartach „wileńskich” powieści autora. Najnowsza z nich: „Bohniń” jest próbą rekonstrukcji losów nie znanej pisarzowi babki, Heleny Konwickiej, żyjącej gdzieś na Kresach, w małym folwarczku Bohiń.

Obsesyjnie powracający w twórczości Konwickiego świat dziecięcych doznań i wyobrażeń ma swoje stałe punkty odniesienia, które i w „Bohniń” stanowią fundament mikrokosmosu wywoływanego przez bohatera-narratora. Rzeka Wilia, sennie wijąca się wśród traw, krzyż-pomnik z „klechdy o sześćdziesiątym trzecim”, majaczące w oddali wzgórza Wilna i dzwony małego kościółka katolickiego — to pejzaż Świętej Doliny, w której ramach funkcjonuje świat przedstawiony. Owa zsakralizowana przestrzeń nigdy nie zginie, „żyć będzie, przenoszona po całej ziemi przez cząstki naszego ciała, przez

komórki naszej pamięci, przez cząstki relikwi naszych wszystkich świętokradztw, co będą błędzić w nieskończoność nad nami”.

Romantycznie pojmowane miejsce urodzenia wiąże się nierozdzielnie z wyobraźnią, pozwalającą na odsłonięcie związków przeszłości z teraźniejszością. Wyobraźnia jawi się tutaj nie jako pewien stan, lecz jako rodzaj egzystencji ludzkiej. Konwicki, poprzez konstrukcję utworu, stara się oddać współlistnienie w świadomości bohatera-narratora „tu” i „tam”, „teraz” i „kiedyś”. Ów narrator pragnie dociec zależności spajających i kontrastujących zarazem te przeciwległe bieguny, zrozumieć i uzmysłowić sobie przyczyny permanentnej wędrówki w wileńską czasoprzestrzeń, przeprawę na drugi brzeg rzeki.

„Dlaczego teraz, kiedy przeżyłem wszystkich moich bliskich, kiedy jestem najstarszy i kiedy nie mogę doczekać się mojej godziny, mojego terminu, dlaczego ścigam cień, widmo, marę młodej kobiety biegnącej przez banalną sierpniową łąkę, ku banalnemu białemu dworowi”.

Wielokrotne podkreślanie banalności czasu i miejsca, deprecjonowanie mitycznej doliny w zestawieniu z wcześniejszymi rozważaniami stanowi o dwuznaczności widzenia świata, o ciągłym przeplataniu się „egzystencjalnej powagi i miałości rodzinnego bytowania”... Ale ten labirynt myśli, wątpliwości, wspomnień wywołuje również pytanie:

kim ja jestem, kim jest ten człowiek, który przemawia przeze mnie? W tym kontekście sacrum nabiera zupełnie innego wymiaru. Zostaje ukazane w telurycznej wizji wzajemnych odniesień jednostki i miejsca, z którego ona pochodzi:

„Wszyscy tu się znają nawzajem, wszyscy od siebie pochodzą i wszyscy też tworzą nową historię, nową mitologię, nową kosmogonię, którą potem rozniosą pielgrzymi i wygnańcy po całym świecie. Nie wymyślono tu nowych machin, ani nie odkryto nie znanych pierwiastków chemicznych, nie urządzono lepszych systemów społecznych. Tutaj w sposób niewidoczny i ukryty przed wzrokiem gawiedzi sprężał się duch ludzki, wznagalały się moce wewnętrzne człowieka, tu odradzała się w człowieku animalność i ulegał on stopniowej deizacji przed wielką pielgrzymką w kosmos na spotkanie z braćmi bogami”.

Tylko romantycy potrafili tak pojmować związki człowieka z historią. Dla nich historia człowieka była również historią kosmosu, ziemi i natury. Światopogląd romantyczny nadawał atrybuty boskości człowiekowi działającemu w historii, kształtował go na podobieństwo bogów, by mógł on realizować swoją wizję człowieczeństwa.

Stosunek romantyzmu do historii jest szczególnie ważny dla literatury polskiej. Przykazanie: „polegnij, synku, polegnij...” czy: „I nauczcie się co dnia umierać...” wynikały z naszej rzeczywistości historycznej, w której roman-

tyzm ustalał moralne kryteria „oceny zachowań się jednostek i zbiorowości narodowych”.

Historia domniemanych losów przodków Konwickich, panny Heleny i jej ojca Michała, którzy u schyłku XIX w. wegetują na Kresach w dzierżawionym majątku — to jeszcze jeden przykład narodowych dziejów: powstanie 1863 r., jego upadek, konfiskata majątku, śmierć ukochanego i postać ojca snującego się po folwarku — to stałe elementy wyposażenia rzeczywistości.

Istnienie w powieści wzorca zachowań i postaw ma swoje uzasadnienie genetyczne. To „konkretna formuła kulturowa, decydująca o postawach światopoglądowych podmiotu. Jest nią zespół zjawisk mieszczących się w haśle Wileńszczyzna, mit eksponowany w całej twórczości Konwickiego”.

Podobne motywy i sposoby kreacji świata widoczne są również we wcześniejszej twórczości pisarza. „Dziura w niebie”, „Sennik współczesny”, „Zwierzczelekoupiór”, „Nic albo nic”, „Kronika wypadków miłosnych” czy wreszcie „Kalendarz i klepsydra” oscylują wokół tych samych spraw i problemów. W „Bohniń” jednak egzystują na innych prawach i w odmiennej perspektywie widzenia. Bohater-narrator jakby gwałtowniej, z większą determinacją, ale i z większym trudem, przediera się przez gąszcz wyobraźni i pamięci. Jak gdyby przeczuwał, że jest to już ostatnia podróż literacka do „ziemi świętej”, przekraczanie Styksu.

Owa pielgrzymka prowadzi na koniec do stwierdzenia, że „tam” nie jest nigdy „tutaj”, że „podniebny lot” do doliny szczęścia, w której poszukuje się stałych wartości, jest tylko jego przygoda i jego osobista sprawa. Zaczyna więc dostrzegać oracza uprawiającego ziemię, pasterza strzegącego stada owiec i przepływający statek...

Ikar ulega transformacji, bo tylko Dedal może dolecieć do brzegu. Jest w tym stwierdzeniu i okrucieństwo losu, i pewna pociecha.

Zbigniew Dzięciołek

Tadeusz Konwicki: Bohiń, Warszawa 1988.

## „RELACJE” O „RELACJACH”

**T**YGODNIK Wschodni „Relacje” ma brata — o rok starszego i na dodatek za granicą. Od początku 1988 roku wychodzi w Sztokholmie kwartalnik „Relacje”. Jest to pismo bardzo interesujące i na jego przykładzie widać szereg nowych zjawisk w prasie emigracyjnej. W odróżnieniu od „Kultury”, „Aneksu”, „Zeszytów Literackich”, „Pulsu” i innych „starych” organów nowej powojennej emigracji, które startowały na ogół przy bardzo skromnej szacie graficznej i całym wysiłku skoncentrowanym na intelektualnej i politycznej atrakcyjności tekstów, „Relacje” (podobnie jak ich rówieśnik, zachodniobrzeński „Pogład”) mają od początku bardzo staranną stronę edytorską. Co musi cieszyć tym bardziej, iż drukowane są — i to także jest nowość — w Polsce.

Czytelników, których poglądy odbiegają od „oficjalnych” (a jest ich podobno w Polsce około jednego procenta) i którzy mogą się poczuć zaniepokojeni, iż reklamujemy jakąś podejrzaną instytucję, mającą na celu wbijanie klinia w zdrowe ciało polonii szwedzkiej, pragniemy uspokoić. Jest to — jak się określa redakcja — „niezależne pismo oparte na komercyjnych zasadach. Nie otrzymuje żadnych dotacji ani od władz PRL, ani władz szwedzkich. Redagowane w Sztokholmie — drukowane w Polsce. Nie podlega cenzurze”. Dodać trzeba, że w Szwecji redagowane jest przez Krzysztofa Mazowskiego i Janusza Rzepeckiego, natomiast przedstawicielem pisma w Polsce jest Maciej Dworak.

Kwartalnik „Relacje” stawia sobie dwa cele. Po pierwsze, informować o wydarzeniach w Polsce i je komentować. Po drugie, ułatwiać życie Polakom mieszkającym w Szwecji przez informację o przepisach ich dotyczących, formalnościach, możliwościach działania itd.

Dla czytelnika w Polsce ciekawsze jest, jak wygląda realizacja tego pierwszego celu. Podajemy zatem kilka pozycji z 2. i 3. numeru pisma. Piszą: Stefan Bratkowski, Antoni Maciarewicz, Aleksander Paszyń-

ski, Ernest Skalski, Piotr Wojciechowski. Wywiadów kwartalnikowi udzielili: Janusz Onyszkiewicz i Andrzej Żulawski, a wiersze opublikował Tomasz Jastrun.

Te, i inne, nazwiska są gwarancją dobrej jakości publikowanych materiałów i wszystko wskazuje na to, że „Relacjom” uda się utrzymać na rynku. Czego należy im życzyć.

Czytelnikowi polskiemu należałoby natomiast życzyć, aby kwartalnik „Relacje” (i inne wydawnictwa emigracyjne też) mógł docierać do niego normalną drogą. Nie wydaje się to niemożliwe, biorąc pod uwagę zachodzące przemiany. Nie byłoby to także trudne technicznie, skoro pismo drukowane jest w Polsce.

I tutaj otwiera się następna ciekawa możliwość. „Relacje”, jako pismo, które musi na siebie zarobić, drukowane są w Polsce, gdyż koszt druku (nawet uwzględniając to, że trzeba przywieźć papier) jest w Polsce tańszy niż na Zachodzie. A ponieważ w ostatnich latach tzw. „moce produkcyjne” w przemyśle poligraficznym (tak państwowym, jak i prywatnym) istotnie się zwiększyły, nie można wykluczyć tego, że śladem „Relacji” będą chciały pójść inne wydawnictwa emigracyjne. A to — business is business — oznacza dolary dla kraju. Przy pęknięciu, bardzo już nadwątlonej, bariery politycznej byłaby to transakcja obustronnie korzystna. Nie mówiąc już o komforcie psychicznym, jaki dawałby fakt, iż można pójść do kiosku na róg i kupić „Relacje” (tygodnik wschodni) i „Relacje” (kwartalnik szwedzki), „Kulturę” (Nawrockiego) i „Kulturę” (Giedroycia), „Zeszyty Literackie” — i powiedzieć — „Zycie Literackie”.

Żeby nam się jednak w głowie nie przewróciło, na koniec mały donos. Przez cały rok 1981 zbierałem z niemałym trudem „Tygodnik Solidarność” i mam cały komplet z wyjątkiem numeru 37, który ukazał się w Gdańsku w sobotę dwunastego grudnia, i który — nie pamiętam już z jakich powodów — nie był sprzedawany w reszcie kraju dzień później. Bardzo staram się o kupno tego rzadkiego rarytasu. W tym celu zaj-



Fot. Waldemar Stępień

rzalem niedawno do renomowanego, specjalistycznego antykwariatu w Alejach Ujazdowskich w Warszawie, gdzie z niejakim zdziwieniem dowiedziałem się, że firma w ogóle nie handluje tym tygodnikiem, bo „dyrektor zakazał”.

Zakazać sprzedawania pisma legalnie wychodzącego w Polsce Ludowej! No, no. To już nawet nie jest temat dla pani profesor Łętowskiej. To jest wystarczający powód do interwencji prokuratorskiej, zwłaszcza po tym, jak przedstawiciele prokuratury generalnej długo w telewizji tłumaczyli, iż zasadniczym celem ich działania jest ochrona praw obywateli.

(m)

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1908 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej. Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublińnianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpaccy. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w połowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszka w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludzich i lubelskich wsi, miasteczkach i miastach, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

## OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Córce mojej poświęcam

Obóz Jeńców Wojennych  
w Zaporoziu,  
27 stycznia 1940.

31 grudnia 1939 r., pięć po wpół do dwunastej, będącej w stanie wysokiej gorączki, miejskie pogotowie ratunkowe zabrało mnie do szpitala w tzw. „san-gorodku” — sanatoryjnej dzielnicy Zaporozia. Kiedy i jak nabił się choroby, sam nie wiem. Prawdopodobnie było to następstwo przebiegnięcia w pracy podczas Świąt Bożego Narodzenia.

Pamiętam dziś jeszcze dokładnie jazdę do szpitala. Widzę, jak pochyla się nade mną sanitariuszka, niemłoda już kobieta; wymacuje tętno, bada oddech. Powiedziałem, że czuję się dobrze. Trochę rozmawialiśmy. Kobieta powiedziała, że nazywa się Lewandowska. Jest Rosjanka, ale wyszła za Polaka rodem z Warszawy, żołnierza pozostałego w Rosji po pierwszej wojnie światowej. O mężu wyrażała się w samych superlatywach. Wtedy zrozumiałem jej szczególne zainteresowanie chorą Polakiem w szpitalnych noszach.

Ale nie tylko owa sanitariuszka interesowała się mną. Na „peresylnym” punkcie rozmawiali ze mną i inni, pytając: „Wy, żeńa? A siemja — gdzie? A ot kuda wy?..”

Sanitarka zatrzymała się przed szpitalem. Dyżurny lekarz. Kąpiel przed badaniem. Na dworze zimno, woda w kąpielu również nie jest gorąca. Staje przed lekarzem. Na gołej piersi zwisa na tańcuszku krzyżyk. Lekarz — zdaje się — Żyd. Ostukał, opukał. Spojrzawszy na krzyżyk, pyta: „Wy wierujesz?” „Da, kanieczno” — odpowiadam. Jeszcze chwila i znajduję się w łóżku. Termometr. Ciepłe butelki na nogi. Na sen — aspiryna. Po głowie majaczy się nie wiadomo co. Okazało się, że mam zapalenie płuc.

Rano obudziłem się. Sala pełna chorych. „Te, Tadek! — słyszę — podobno jakiś Polak w nocy przywieźli”. Odsunąłem koc. „Tu, jestem” — mówię. Przysiadło się do mnie dwóch, po obu stronach łóżka. Stach Kocimski i Tadek Mierzwinski. Pytają, co słychać w obozie, jak sytuacja strajkowa i głodówkowa. I w ogóle — ciekawi, co słychać. Siedzą tu już od blisko trzech miesięcy, więc żądni są wiadomości o kolegach z obozu.

Szedł dzień za dniem. Rano o szóstej — siostra z termometrem i słowem pozdrowienia staje przy łóżku. Później — śniadanie. Około pierwszej — wizyta lekarska. Obiad. Wieczorem o szóstej — kolacja. Po kolacji — ploteczki z chorymi powracającymi do zdrowia.

Ciekawym osobnikiem był jeden z moich rozmówców, noszący nazwisko Lasocki. „Ty jesteś Polak” — mówię kiedyś do niego. „Niet, nikagda” — odpowiada. Innym razem znów to powtórzyłem. Lasocki na to: „Wiesz, ja nawet nie wiedziałem, że Polak z pochodzenia. Zresztą co za różnica? U nas, w Związku Sowieckim, nie uznaje się różnic narodowościowych”.

Do najbardziej żywciliwych należał pan Kowalenko. Całe długie wieczory w rozmowie ze mną poświęcał na informację — jak i kiedy można nawiać z Rosji. Mówił, że do Odessy przychodzą statki zagraniczne — angielskie, tureckie i bułgarskie. Najlepiej wybrać statek turecki, ukryć się pod pokładem, a później na pełnym morzu wyjść z ukrycia i zgłosić się do kapitana. Nie próbować — mówił pan Kowalenko — okazji ze statkiem bułgarskim.

Te rozmowy i pogaduszki przy papierosie, którym częstował, przerywane były przez uśmiechnięte siostry dyżurne słowami: „Chorzy, spać!”

Spotkałem tu również byłego żołnierza KOP. Nawiał z granicy podczas służby, w 1924 r. Pochodzi z okolic Sarn. Dzieje jego życia w Rosji, po ucieczce są bardzo interesujące i osobliwe.

Poznałem wiele lekarek, sióstr szpitalnych, sanitariuszek. Miłe, uprzejme i usługowe istoty. Swoją troskliwością o zdrowie pacjenta — wzruszały. Dawały z siebie wszystko, na co było je stać w tutejszych warunkach; plus siostrzane oczy i macierzyńskie serca.

W szpitalu długo nie leżałem. Zdrowy i młody organizm szybko uporał się z chorobą. Wczoraj przyjechał po mnie samochód z obozu i wróciłem „do siebie”. Właściwie to niezupełnie do siebie, bo zamiast do baraku nr 3, skierowano mnie do „czwórki”. „Trójka” została przeznaczona na barak karny i jest oddzielona plotem z drutu kolczastego.

Zastąpiłem w „czwórce” pięciu kolegów (mieszkamy w pokoju nr 1): Stefek Kaczyński, Heniek Domański, Praksza — nauczyciel z Brzezin łódzkich i jeszcze dwóch innych.

Stefek od razu zaopiekował się mną, jak mógł. Pisał właśnie list do domu i wspominał w nim o mnie, aby rodzina dała znać moim w Annopolu. Ja uczyniłem podobnie, podając w liście do Juli i Basi adres jego rodziny.

W Zaporoziu,  
koniec lutego 1940.

Niedługo siedziałem między kolegami. 1 lutego ponownie zabrano mnie do szpitala. W szpitalu było pewne zamieszanie. W początkach miesiąca część personelu (siostry) odeszła do szpitali wojskowych na front fiński.

Byli ze mną w szpitalu: Karnicki z Jędrzejowa i Józef Jagiello z Warszawy, kierownik Hotelu Europejskiego, władający biegle językiem francuskim, angielskim i niemieckim.

Do szpitala przychodziło masę cywilnych osób z Zaporozia. Między innymi — pewien Niemiec z Powoła, potomek dawnych osadników. Jagiello wdał się z nim w rozmowę po niemiecku. Zagadnięty prosił jednak, by z nim nie rozmawiać, bo wydać się to może podejrzane, a na pewno jest wśród nas ktoś, kto szpieguje. Powiedział jedynie, że Niemców tutejszych wysiedlono na Syberię. Wyszli sami, walczyli. Kobiety, dzieci i starców zostawiono. Te wysiedlenia wzięły się podobno stąd, że Hitler zrzucił na spadochronach na tereny zamieszkałe przez niemieckich osadników swoich dywersantów, a ludność ich ukryła.

Kiedy po trzech tygodniach wróciłem ze szpitala do obozu, przydzielono mnie do baraku nr 5, przeznaczonego dla rekonwalescentów i ludzi o słabszej kondycji fizycznej. Jest tu m.in. Orzechowski z kancelarii korpusu. Zetknąłem się również z poznanym już wcześniej Franciszkiem Zwolińskim.

Zwoliński mieszkał przed wojną w Toruniu. Ostatnio otrzymuje listy od żony, która pisuje m.in. o stosunkach w Toruniu pod okupacją niemiecką. Dwa ich synowie są, jak się okazuje, na liście volks; ona sama pracuje w magistracie. Zwoliński jest zawodowym wojskowym, bodajże sierżantem żandarmerii. Zona dziwi się, dlaczego on nie wraca. Pyta w listach — gdzie pracuje i ile zarabia. Franek złości się na żonę. Mówi: „Ona nie ma żadnego zrozumienia! Jak można pytać żołnierza w obozie jenieckim, gdzie on pracuje i ile zarabia!”

Opowiedziano mi dopiero teraz o losach podchorążego Kruszyńskiego. Otóż z okazji Wigilii Kruszyński napisał wiersz patriotyczny. Dał go do przeczytania koleźce, starszemu już panu, Błotnickiemu (czy — Błockiemu) z Zyrardowa. Ten, wzywany do komendatury po zaburzeniach świątecznych w obozie, doniósł o tym wierszu. Kruszyńskiego aresztowano i zabrano do więzienia. Była rozprawa karna na której świadczył Błotnicki. Kruszyński dostał wyrok i pozostał w więzieniu.

Dnia 15 marca 1940,  
w Obozie Jeńców w Zaporoziu.

Dostałem pierwszy list z domu! Wysłany z poczty w Krańniku 14 lutego 1940 r. Adresował, jak widzę z charakteru pisma, Łukasz Malinowski. Koperta nosi pieczęcie niemieckie i sowieckie: „Oberkommando der Wehrmacht” i — „SSSR. Moskwa Poczta, wojenny oddział”, wraz z datami odbioru przesyłek. Ostatnia pieczęć: „Zaporozie 24; 6.3.40.” List datowany jest 19 lutego:

„Całym sercem ukochany nasz Tatuńku!

Dopiero dzisiaj otrzymaliśmy pierwszą trochę pewniejszą wiadomość o Tobie i w tej chwili próbujemy pisać na podany adres — może dobry B. sprawi, że otrzymasz te kilka słów. Od czasu, jak pożegnaliśmy Cię w Lub. [linie], nie otrzymaliśmy ani jednego listu. Wiadomości ustne od osób, które Cię widziały, dostaliśmy kolejno takie: 1) Bieńkowski W. widział Cię w Chełmie, 2) Strzelecki z Suchoj Wólki — w transporcie jeńców jadących do niewoli rosyjskiej. 3) Księżomierzak znów — w transporcie jeńców jadących, ale już do niewoli niemieckiej (zamiana), 4) jakiś nieznany człowiek ze szczęką wybitą rozgłosił w okolicy, że jadąc do wspomnianej niewoli, wyskoczyłeś z pociągu i zabiłeś się. Tę ostatnią wiadomość przyniósł Kowal-

ski 9 grudnia ze wsi. Możesz sobie wyobrazić, ileśmy przeżyli i jakie morze łez wypłynęło. Dziś dziękuję Najwyższemu, że nie straciłam życia i nie oszalałam z rozpaczki, bo przecież trzeba żyć dla dziecka i opiekować się. Nie mogłam Ci darować tak lekkomyślnego kroku, a ponieważ dużo takich wypadków było, więc uwierzyliśmy, że może dałeś się namówić drugim i uczyniłeś to. Od Iz. [Izika z Sarn — przyp. M. D.] otrzymałam okazyjnie jeden list dopiero, w którym podał mi Twój adres (Nowograd Wołyński). Wiadomości od Iz. uważałam za nieaktualne, bo list pisany był 26 list., a 9 grudnia przyszły te tragiczne wiadomości; sądziłam więc, że Iz. sam nie wiedział, co dalej z Tobą się stało — doniósł to, co wiedział na początku; dlatego nie nas nie pocieszało i lzy płynęły i płynęły. Trudno nam jest zrozumieć, dlaczego nie piszesz? Bardzo często przychodzą polecane listy z Rosji i różne (zwykle) z niewoli niemieckiej, które czytają ludziami. Przepuszczamy, że nie masz grosza na listy. Chcielibyśmy Ci co wysłać, ale trudno. Może przez Czerwony Krzyż się uda, ale na razie i tą drogą trudno. Byliśmy już w Czerwonym Krzyżu Lub., jak dowiedzieliśmy się o wypadku, aby coś tam się dowiedzieć, ale nie nam nie powiedziano. Wysłałam prośbę do Międzynar. C. K., napisaną w trzech językach, by mi doniesiono coś o Tobie, lecz też nie mam odpowiedzi jeszcze. Bracia Twoi wszyscy w domu, Kurcz i anajomi też wrócili, tylko Tobie i mnie los zgotował inną drogę. Bogusłowie mieszkają w Dzierżkowicach. Jaworzakowie stracili Zbyszka. My jesteśmy zdrowi i dobrze nam. W jesieni po powrocie na drugi dzień z Lub[lin] wybraliśmy się na kolonię do Gąbków, gdzie przebywaliśmy blisko miesiąc. Na wiosnę wyjadę też z dzieckiem na wieś, ale już trochę dalej — do Maryli albo w tamte strony. Rzeczy nam ocalały wszystkie za wyjątkiem drobiazgów i pudełka stojącego na etażerze, ale to głupstwo, bo tego nigdzie nie ma teraz. Mieszkamy w połowie domu, druga jest zajęta. Do Świąt (od list.) uczyłam i otrzymałam normalną pensję. Po świątach przerwaliśmy zajęcia, bo sale zajęte, ale pobory mamy otrzymywać — otrzymać za grud. i stycz. wkrótce. Koniecznie chciałabym Ci coś wysłać i będę się o to starała. Dziękuję p. Iskrze z Grabówki, bo dzięki niemu mam pierwszą wiadomość o Tobie — jego list był szczęśliwy. Gorąco i serdecznie tulimy się do Ciebie i całujemy mocno. Staraj się podać nam jakie wiadomości jakkolwiek drogą. Julia i Basia — Marysia”.

Dopisek na boku: „Pozdrawiamy Twoich kolegów rodaków i życzymy im, tak jak i Tobie, wszystkiego dobrego. Do Nowogrodu wysłałam okazyjnie 2 kartki, ale wiedziałam, że Cię tam nie ma już”.

Na drugiej stronie tego listu — list do mnie Basi, pisany przez nią własnoręcznie, kulfonami kilkulatka. Oto jego treść:

„Kochany i najdroższy mój Tatuńku! Mamusia mówi, że Towarzysze w Rosji są dobrzy i nie złego Ci nie zrobią. Mamusia przecież też była w Rosji Sowieckiej. Niemcy też z nami dobrze obchodzą. Z początku baliśmy się ich, ale teraz już nie. Stryjek Franek i Janek wrócili do domu, tylko Ciebie nie ma i nam jest bardzo smutno bez Ciebie, ukochany Tatuńku.

Mamusia ciągle płacze o Ciebie, ale ja jej nie daję. Wojna jest niedobra, bo zabiera ukochanych Tatuńków. Ja też zawsze się martwię o Ciebie, mój złoty Tatuńku. Niech Cię Wszemchnocny ma w swej opiece i strzeże od wszelkiego złego na duszy i ciele. Proś Towarzyszy, by Cię puścili do domu, bo Mamusia jest chora i nie ma kto się nami opiekować. Całuję Cię serdecznie

Basia”.

(Koniec odcinka 6. — cnd.)  
Podał do druku i opracował:  
Miroslaw Derecki

## JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA ? (9)

## „TARCIA BYŁY I BĘDĄ W PRZYSZŁOŚCI”

Janusz Wrona

**M**ASOWE aresztowania, przy pomocy których uspokojono teren, nie zawsze jednak trafiały w sedno — pisano w raporcie sytuacyjnym z województwa lubelskiego, przygotowanym przez Zespół Informacji i Propagandy PKWN w dniu 30 grudnia 1944 r. — (...) Trzeba również zwrócić uwagę, że w wielu wypadkach szumowiny wszelkiego rodzaju, by odwrócić uwagę od siebie, rzucają oskarżenia na innych. Gra tutaj rolę również motyw zemsty osobistej”.

Pod koniec 1944 r. ujawniły się również problemy związane z pobytem na ziemiach polskich Armii Czerwonej. Kwestia ta, mimo iż nie dostrzegana w literaturze historycznej, znajduje odbicie w bogatym i różnicowanym materiale źródłowym. Pobyt Armii Czerwonej na ziemiach polskich był przedstawiany w materiałach wytworzonych przez najniższe szczeble władzy, jak również przez kierownicze ośrodki państwa. Przez okres kilkunastu miesięcy rzutować on będzie bezpośrednio na nastroje społeczne.

Kierownictwo PKWN już jesienią 1944 r. sygnalizowało radzieckiemu przedstawicielowi, generałowi Bułganinowi nadużycia Armii Czerwonej przy pobieraniu kontyngentów (lubelskie, biłostockie). 15 listopada 1944 r. Edward Osóbka-Morawski skierował do Bułganina specjalne pismo z apelem o pomoc w walce z bezprawnymi rekwizycjami przeprowadzanymi w terenie przez czerwonarmistów.

Z wyzwolonych terenów kierowano do polskich władz sygnały o wywożeniu polskiego mienia (Jarosław), rabunkowej gospodarce i dewastacji zakładów (Mielec), kradzieżach i rabunkach (Siedlce) oraz o wykupywaniu przez oficerów radzieckich żywności i ekspedowaniu jej do ZSRR, co wpływało na znaczne podniesienie jej cen. Niepokój o stan zajętych przez Czerwoną Armię budynków szkolnych i ich wyposażenie wyrazili dyrektorzy gimnazjów ogólnokształcących na swym pierwszym zjeździe w Lublinie w dniach 2—4 listopada 1944 r.

Zadrażnienia, konflikty i incydenty między ludnością cywilną a żołnierzami sygnalizowano jako istotny problem już w grudniu 1944 r., komentując zmieniający się stosunek ludności polskiej do ZSRR i Armii Czerwonej. W cytowanym na wstępie raporcie z 30 grudnia pisano: „Nastroj tej przyjaźni psują częstokroć żołnierze Armii Czerwonej, postępując niewłaściwie w stosunku do ludności. Często są wypadki rabunków i dewastacji mienia”.

Szczególnie dotkliwie odczuwała te praktyki ludność strefy przyfrontowej. W sprawozdaniu za listopad 1944 r. Referat Informacji i Propagandy PKWN powiatu stopnickiego donosił o pogarszającym się stosunku czerwonarmistów do polskiej ludności (...)

O licznych zadrażnieniach między ludnością polską a Armią Czerwoną w strefie przyfrontowej oraz dewastacji ewakuowanych wsi i miast Puławy informował w grudniu 1944 r. Bułganina oraz wojewodę lubelskiego przewodniczący PRN w Puławach, członek Komitetu Obwodowego PPR Stefan Lewtak.

Problemy pojawiły się również w związku z funkcjonowaniem gminnych komendantur Armii Czerwonej. Starosta puławski raportował PKWN, iż komendantki wojskowi gmin „są istnymi kacykami. Wygórowane żądania lukusowych mieszań, pościeli, światła lub wystawienia przed nimi po 3-ciu i więcej wartyowników wjeżdżających wywołują wśród ludności niezadowolenie. Należałoby okólnikiem wyjaśnić, na czyj koszt ma być wykwinne życie komendantów”.

Wyzwolenie pozostałej części kraju w 1945 r. nie zlikwidowało zadrażnień. Przeciwnie, pojawiły się nowe problemy we wzajemnych stosunkach, które uwidoczniły się na Pomorzu i Śląsku. Wynikały m.in. z obecności ludności niemieckiej, która niejednokrotnie podejmowała próby, by przeciwstawić ludności polskiej komendantów wojennych Armii Czerwonej. Sytuację komplikowały działania radzieckich grup, które demontowały na ziemiach zachodnich zakłady przemysłowe i wysyłały je do ZSRR. Nie zniknął również problem pospolitego maruderstwa żołnierzy Czerwonej Armii. Wskazując w październiku 1945 r. na istniejące przypadki „samowoli oddziałów Armii Czerwonej lub pojedynczych żołnierzy”, Wojewódzki Urząd Informacji i Propagandy w Lublinie informował: „W podobnych wypadkach ludność nie reaguje, nie zawiadamia o tym odpowiedzialnych czynników, aby nie posądzono ją o wrogi stosunek do Związku Radzieckiego”.

Wagę i znaczenie stosunku ludności polskiej do Armii Czerwonej dostrzegano kierownictwo PPR. Poruszył ten problem w lipcu 1945 r. W. Gomułka na plenum KC PPR: „Nasza partia nie dość reaguje na nastroje przeciw Czerwonej Armii. Reakcja prowadzi bardzo przemyślaną i skuteczną robotę, żerując na maruderstwie. W Toruniu w związku z przemarszem Czerwonej Armii puszczono prowokacyjną wersję, że Armia Czerwona porwuje dzieci ze szkół. Tego dnia w szkołach nie było dzieci ani nauczycieli. W remontowni wagonów w Bydgoszczy reakcja wysuwa hasło: »remontowni wagonów będą mniej wywozić. A nasza partia nie walczy z tym i nie wyjaśnia”.

Miesiąc później B. Bierut wystosował specjalne pismo do Konstantego Rokossowskiego, Georgija Malenkowa i ambasadora ZSRR w Polsce Wiktora Lebediewa w celu eliminacji wzajemnych konfliktów na ziemi lubuskiej.

W drugiej połowie 1945 r. Jakub Berman, przygotowując się do rozmowy ze Stalinem, podczą, której miał przedstawić węzłowe problemy sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej w Polsce, zanotował, iż nastąpił „spadek popularności Czerwonej Armii na skutek rozprężenia dyscypliny oddziałów tyłowych rozszlanych po całej Polsce i oddziałów przejeżdżających przez Polskę. Irytująca w tym zakresie bezkarność przede wszystkim obarcza PPR: osłabia jej autorytet w masach”. Nieprzypadkowo więc, planując przedstawienie Stalinowi szeregu działań, które miały umocnić autorytet komunistów w społeczeństwie polskim, podkreślał, iż warunkiem ich realizacji jest „usunięcie (...) aktów maruderstwa i chuliganstwa ze strony szczególnie zdemoralizowanych oddziałów tyłowych, które (to akty) mimo wysiłków marszałka Rokossowskiego wciąż jeszcze mają charakter masowy”.

W roku 1946 zaniepokojenie społeczeństwa budził fakt stacjonowania oddziałów Armii Czerwonej na ziemiach polskich mimo zakończenia II wojny światowej. „Ludność na ogół rozumie konieczność przyjaźni z ZSRR, ale chciałaby, aby oddziały Armii Czerwonej w Polsce nie kwaterowały” — pisano w raporcie z województwa warszawskiego 8 kwietnia 1946 r. Fakt ten oceniano jako jedną z przyczyn nastrojów antyradzieckich. Zaliczono także do owych przyczyn sposób zachowania się władz ZSRR w stosunku „do aresztowanych w czasie działań wojennych i wywiezionych do Rosji członków AK. Ludzie ci wracają schorowani, wymizerowani i obdarci — opowiadają o bardzo złych warunkach panujących w ZSRR i zapowiadają kontrrewolucję...”

Kontrowersje budził również udział wojsk radzieckich w akcjach represyjnych na terenie kraju. Wojewódzki

Urząd Informacji i Propagandy w Lublinie, donosząc w raporcie z 7 czerwca 1946 r. o pogorszeniu się stanu bezpieczeństwa w województwie, stwierdzał: „Sytuację pogarsza represyjna instrukcja oddziałów radzieckich NKWD (masowe aresztowania w Janowie Lubelskim i spalenie wsi w powiecie puławskim). Represje te były spowodowane morderstwami dokonanymi na oficerach i żołnierzach Armii Czerwonej”. Podobne działania sygnalizowano w województwie olsztyńskim.

Zarysowany skróto problem maruderstwa nie stanowił decydującego czynnika kształtującego postawy Polaków wobec ZSRR i komunistów, jakkolwiek nieuwzględnianie tej kwestii przy analizie rozwoju sytuacji w Polsce w latach 1944—1946 daje niepełny obraz owej sytuacji.

O sile PPR i możliwościach wpływu na społeczeństwo decydowało na przełomie 1944/1945 m.in. funkcjonowanie porozumienia wszystkich legalnie działających stronnictw: PPR, PPS, SL i SD. W opinii przywódcy komunistów W. Gomułka, czwórzprzymierze partii było wyrazem zdrowego kompromisu, co w praktyce miało oznaczać, że „nie jest to wyrzeczenie się przez naszą partię przewodnich myśli i celów, do których zdąża, ale jest to kompromis, który ma na celu zdobycie dla linii naszej partii (...) nie tylko większości klasy robotniczej, ale większości całego narodu”.

Sekretarz generalny PPR miał świadomość różnic, jakie istnieją wewnątrz kierowanego przez komunistów bloku partyjnego: „Nie było takiego okresu, aby w tym porozumieniu międzypartyjnym wszystko toczyło się idealnie. Tarcia były i będą w przyszłości”.

Formułując cytowane oceny na plenum KC PPR w lutym 1945 r. Gomułka ostrzegał, że zasada suwerenności pozostałych partii politycznych nie wyklucza działań przeciw nim skierowanych, jeżeli partie te występują przeciwko „zasadniczym przewodnim ideom budowy nowej Polski”. Rolę arbitra w tej sprawie przyjmowali na siebie komuniści.

W praktyce, poza koncepcjami PPR, o rzeczywistości rozgrywanej się na scenie politycznej powojennej Polski, w tym także o liczbie i charakterze legalnie działających partii oraz ich wzajemnym usytuowaniu, decydowały inspiracje J. Stalina. Istotną rolę odgrywał także brak ostatecznych rozstrzygnięć sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Wiązało się to z perspektywą ustanowienia w kraju rządu uznanego przez wszystkie mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej, co stwarzało perspektywę umożliwienia legalnej działalności w kraju także innym siłom politycznym.

Problem ten był dyskutowany przez kierownictwo PPR na posiedzeniu Biura Politycznego 17 grudnia 1944 r. w Lublinie. Szczególnie aktywnie podjęli go Jakub Berman i Marian Spychalski, wskazując zgodnie na konieczność dopuszczenia do legalnej działalności chrześcijańskiej demokracji. M. Spychalski uzasadniał tę propozycję w sposób następujący: „Na ziemiach zachodnich nikt nie zna naszej Partii ani naszych przybudówek. Stoi przed nami podstawowe zagadnienie: co zrobić za Wisłą, Śląsk, Pomorze — to tereny chadeckie. (...) Wypluwa stąd wniosek, że Biuro Polityczne powinno się zająć ustaleniem naszego stosunku do piątego stronnictwa (chadecka), mając na uwadze ziemie zachodnie”.

O możliwościach rekonstrukcji systemu partyjnego i propozycjach stworzenia piątej partii „chadeckiej, drobnomieszczańskiej, katolickiej, górnośląskiej” — poinformował na plenum KC PPR 7 lutego 1945 r. W. Gomułka.

Potrzebę zmian w systemie czteropartyjnym, tworzonym przez sygnatariuszy Manifestu PKWN, postulowali jesienią 1944 r. przywódcy Stronnictwa Zrywu Narodowego, Zygmunt Felczak i Feliks Widy-Wirski, którzy w listopadzie 1944 r. uznali władze w Lublinie i oficjalnie ujawnili swoje ugrupowanie. W lutym 1945 r. skierowali oni do Romana Zambrowskiego pismo postulujące reaktywację Stronnictwa Pracy na bazie swojej organizacji oraz wejście tej partii w skład Rządu Tymczasowego. Negowali przy tym potrzebę istnienia i rozwoju w nowej Polsce Stronnictwa Demokratycznego. Wyrażali o tej partii następującą opinię: „masońskie Stronnictwo Demokratyczne, azyli i konieczna przystań zropaczonych inteligentów, w miarę wchodzenia w fazę właściwej rewolucji wydać się musi nieporozumieniem”. Autorzy memoriału trafnie prognostowali wyparcie w przyszłości PPS ze środowiska robotniczego wskutek zwycięstwa w dalszym etapie rewolucji w Polsce „leninizmu-stalinizmu” oraz nieuchronny konflikt komunistów ze Stronnictwem Ludowym.

Potrzeba rozszerzenia ram systemu partyjnego uwidoczniła się po przekształceniu 31 grudnia 1944 r. PKWN w Rząd Tymczasowy, gdy w konspiracji pozostały nadal poważne odciany ruchu ludowego i socjalistycznego, część członków SD i SP oraz narodowi demokraci. Ośrodkiem dyspozycji politycznej był dla nich w dalszym ciągu Rząd RP w Londynie oraz jego krajowa Delegatura wraz z Radą Jedności Narodowej, pełniącą funkcję swego rodzaju podziemnego parlamentu.

Impulsem dla podjęcia działań w kierunku ukształtowania się systemu partyjnego w Polsce były uchwały konferencji szefów rządów ZSRR, USA i W. Brytanii w Jaltie (4—11 listopada 1945 r.). Uzgodniono tam, bez obecności Polaków, smięną kształtu terytorialnego państwa oraz powołanie Rządu Jedności Narodowej na bazie działającego już w kraju Rządu Tymczasowego. Oznaczało to umocnienie pozycji polskich komunistów i osłabienie poparcia państw zachodnich dla opozycji politycznej w kraju. Zgodnie z ustaleniami konferencji jaltańskiej, nowy rząd miał przeprowadzić w Polsce wolne i demokratyczne wybory, w których miały prawo uczestniczyć wszystkie partie „demokratyczne i antynazistowskie”. Sformułowanie to było na tyle ogólne, że umożliwiałoby wypełnienie go różnymi treściami.

W opinii komunistów decyzje zapadłe w Jaltie oznaczały ich wielki sukces.

Uchwały konferencji jaltańskiej zostały zaakceptowane przez Radę Jedności Narodowej i Krajową Radę Ministrów (Rządu RP w Londynie) na posiedzeniu w Podkowie Leśnej, odbytym 17 i 24 lutego 1945 r. Zaważyło tu zdecydowane stanowisko ludowców, popierających linię Stanisława Mikolajczyka. W tej sytuacji konspiracyjne CKRL „Roch” rozpoczęło przygotowania do podjęcia legalnej działalności. Podobnie czynili socjaliści z PPS „WRN”, podejmując stosowną uchwałę na posiedzeniu Rady Naczelnej w Krakowie 18 marca 1945 r. Jaltę zaakceptowali; także przywódcy konspiracyjnego SD, którzy od 1944 r. występowali pod szyldem „Zjednoczenia Demokratycznego”. Działające dotychczas w konspiracji ugrupowania polityczne, przyjmując postanowienia krymskie, interpretowały je odmienne, aniżeli czynili to komuniści i partie uczestniczące w pracach Rządu Tymczasowego.

(cdn.)

Dr Janusz Wrona jest adiunktem w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS. Specjalizuje się w historii PRL.

## NORMA POLSKA

## KARARURA

Waldemar Piasecki

**W**NASZYM zakładzie leczniczym od dłuższego czasu mówi się, że by uważać, bo jak kogoś nie spotka kara boża, to go może spotkać Kararura. Tak naprawdę to Kararura chyba nie istnieje, bo go nikt nie widział. Jest to wytwór fantazji jednego kolegi adjuńka, koleżanki salowej i koleżanki kucharki, z którymi to kolega adjuńka sympatyzuje, żeby nie powiedzieć czegoś bardziej konkretnego. W ich opowieściach Kararura pojawił się, od kiedy nasz Szeff przyszedł kiedyś z podbitym okiem. Wersja była taka, że Szeff biegł po działce i nagle trafiła go jakaś gałąź. Oczywiście natychmiast grono podlizusów, którzy bardzo chcą zająć miejsce Szeffa (że też nie ma na rlich kary), rzuciło się do niego z propozycjami, że mu zaraz na działce zrobią porządek i wyrzną wszelkie gałęzie. Szeff patrzył na ich podejrzliwie i zycziwie dziękował za pomoc, bo jest człowiekiem starej daty i wie, co się może kryć za takim przypływem uczuć. Na wszelki wypadek poszedł jednak do okulisty, który nie stwierdził nic groźnego.

Siniak okularowy schodził Szeffowi systematycznie, a wraz z tym wracał mu humor, tak bardzo ważny w rnszej pracy. Jednak kolega adjuńka kolportował jakieś insynuacje, że Szeff ucierniał nie od gałęzi, a od Kararury. Oczywiście kolega nie wyjaśniał, kto to jest Kararura lub co to jest za urządzenie. Inny dowcipny kolega asystent mówił głupio, że to chyba chodzi o rurę wydechową w którą miał zaglądać Szeff, a pojazd nagle cofnął się. Była to bezwstydną insynuacją, bo Szeff nigdy by na rury nie zaglądał. Od tego to on ma mechaniczną.

Któregoś jednak dnia kolega adjuńka wpadł do zakładu jak burza i ostatnim tchem wyrzucił z siebie: „Kararura u prokuratora!”. Koleżanka pielęgniarka z z troskaniem popatrzyła na naszego adjuńka i powiedziała znacząco: „Zaraz przysięś coś do picia”. Adjuńka obrzucił ją złym spojrzeniem. „Ja się dobrze czuję! Kararura dostał za swoje”. Z dalszego toku opowieści dowiedzieliśmy się, że sprawiedliwość zajęmuje się Kararurą, bo to on właśnie napadł na Szeffa, a nie jakaś gałąź. Kararura miał być zdeklarowanym pijakiem i elementem, co ostatecznie doprowadziło go do niecnego zamachu na naszego Szeffa. Adjuńka był jednak człowiekiem małej wiary. Zaczął się doszukiwać motywów.

— Zaraz, zaraz... — mówił nam — przecież Szeff jest abstynentem i znanym działaczem antyalkoholowym. Przecież nie przy kieliszku się spotkali! No, elementem też nie jest. Odwrotnie: znana jest jego pryncypialność. Gdzie mu tam do towarzystwa jakiegoś Kararury?

Naturalnie nikt nie mówił Szeffowi nawet słowem, że coś wiemy o genezie jego kontuzji. Jak gałąź, to gałąź! Mijał czas i sprawa jakby nieco przycichła. Ale czujny adjuńka znów coś wywęszył. Wpadł z ogniem w oku i wykrzyknął: „Wiem wszystko!”. Uciarliśmy, czekając na dalszy ciąg, wiedząc zresztą, że on nastąpi. I nastąpił.

— Kararura dowalił Szeffowi, bo był zazdrosny!

— Jak to zazdrosny? — spytała salowa. — Pedal jakiś czy co?

— Znaczy się Kararura ten — tego do Szeffowej? — spytał beznadziejnie kolega asystent.

— Odwrotnie! — wyszeptał adjuńka. — W życiu! Nasz Szeff z facetami?! — zawyla salowa.

— Głupia! — wrzasnął adjuńka.

— No, nie, kolego! Nie sugerujecie chyba, że Szeff mógłby mieć kontakty pozamedyczne z żoną jakiegoś tam elementu? Co pan sobie wyobraża — asystent wykazał nienaganną lojalność.

— To przecież miałem na myśli, tylko młodszy kolega, jest jakby tu powiedzieć pobudzony skojarzeniowo. Szeff miał kontakty medyczne ze schorowaną żoną Kararury, którą nie było stać na bezpłatne leczenie w naszym zakładzie, a głupi mąż — element tego nie rozumiał właściwie, bo nigdy nie trzeźwił. To miałem, kolego asystencie, na myśli, a wyście tu jakieś skojarzenia niezdrowe... No, no, no...

Poblady asystent rzucił się do nóg adjuńka.

— Drogi kolego, cofam! Cofam wszystko! Jak ja mogłem mieć takie skojarzenie przed specjalizacją?! Boże drogi! — wybelkotał.

— Będą z was ludzie i doktory, kolego asystent — rzucił od niechcenia adjuńka i wyszedł z pokoju.

**O**D tego czasu minęło sporo czasu. Adjuńka opowiada o Kararurze, wszyscy współczują Szeffowi przegody. I tylko kolega docent, który wrócił ze stypendium zagranicznego, szuka sekretora, żeby poprzyćć gałęzie na działce Szeffa. Na zakamuflowaną uwagę adjuńka, że trzecim ogniwem łańcucha skojarzeniowego: kara boża — Kara Mustafa — jest Kararura, odparł, że nie zna tureckiego. Istotnie, taka znajomość mogłaby zaszkodzić objęciu sukcesji po Szeffie.

Tak kończy się fragment brudnopisu znalezionego w karetce pogotowia. Wszelka zbieżność postaci i okoliczności tak jak w Hollywood jest przypadkowa.

ALINA SZAPOCZNIKOW  
- APOTEOZA CIAŁA

**26** LUTEGO 1989 roku, w niedzielę po południu w podziemiach KUL było bardzo tłoczno. Wszyscy czekali na otwarcie wystawy prac Aliny Szapocznikow — znakomitej polskiej rzeźbiarki, zmarłej w 1973 roku w Praz-Coutant we Francji, gdzie przebywała od 1963 roku i gdzie stworzyła swoje najsłynniejsze prace.

Tłok był na zewnątrz, gdyż mało kto odważył się naruszać ciszę sali, gdzie rozwieszono rysunki i postawiane rzeźby tworzyły klimat sanktuarium. Do środka zaprosił wszystkich Leszek Mądziak, dzięki któremu wystawa ta zaistniała i który w swojej twórczości — jako kierownik artystyczny Sceny Plastycznej — w przedstawieniu „Zielnik” (z 1976 roku) oparł się na twórczości Aliny Szapocznikow. Nie jest więc ta wystawa tylko zaprezentowaniem twórczości wielkiej artystki, lecz jest także osobistym holdem.

Wystawę otworzył ks. rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — bp Jan Śrutwa. Zwrócił on uwagę na miejsce prezentacji twórczości A. Szapocznikow, przesiąkniętej silnie duchem chrześcijaństwa, podkreślając przy tym zasadniczy rys tych prac, który określił słowami: „non omnis moriar”.

Urszula Czartoryska, historyk sztuki, pracownica Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi, gdzie znajduje się największy w Polsce zbiór prac Aliny Szapocznikow i z którego wypożyczono prace na tę wystawę, mówiła o twórczości artystki, o jej fobiach, maniach, o walce z tworzywem, ze światłem i z sobą samą. O jej pięknej, o ogromnym podłożu emocjonalnym i egzystencjalnym sztuce. Jawi się przed oczami obraz kobiety, artystki, która sztuką swoją chciała walczyć ze śmiercią, a którą śmierć zwyciężyła. Zbyt wcześnie. Kobieta, która w całej swojej twórczości obsesyjnie chciała zatrzymać czas, gloryfikując i utrwalając w materiale tak kruche i zmienne ciało ludzkie. Odkryte w Paryżu możliwości pracy w różnych tworzy-

wach syntetycznych, ich miękkość i uległość zachęcają do utrwalania przemijającego kształtu ciała.

Całą swą twórczością drążyła ten temat do dna, zgłębiając tajemnice życia. Powstały cykle: „Nowotwory”, „Fetyse”, „Zielnik” — odnoszące się do własnego jej życia. W pracach, w których z maniacką wręcz zaciętością drąży problemy przemijalności ludzkiego ciała, usiłowała utrwalić w przezroczystym polistyrenie ulotne momenty życia, jego paradoksy, jego absurdalność. Napisała: „Jestem przekonana, że wśród wszystkich przejawów nietrwałości ciała ludzkie jest najwrażliwszym, jedynym źródłem wszelkiej radości, wszelkiego bólu i wszelkiej prawdy, a to z powodu swej ontologicznej nędzy, tak samo nieuniknionej, jak — w płaszczyźnie świadomości — zupełnie nie do przyjęcia”.

Dwa lata przed śmiercią przedstawiła — z okazji wystawy Operazione Vesuvio — projekt sztuki totalnej, który stanowił dopełnienie jej działań. Napisała: „Jeśli pewnego dnia podczas konkursu lyżwiarstwa figurowego jakaś Peggy Fleming danej chwili wykona swój program w zamrożonym kraterze i jeśli my, widzowie, oszołomieni jej wspaniałymi i płochymi piruetami, zostaniemy zaskoczeni nagłą erupcją lawy i zastygniemy na wieki jak Pompejanie, wtedy triumf chwili i przemijalności będzie kompletny. Chwila ulotna, chwila biała — jest to jedyny symbol naszego ziemskiego żywota”.

Na wystawie zaprezentowano cykle rysunków, w których z gmatwanymi kreskami przebiega ciało człowieka. Ekspresja kreski, linii, widoczna na tych rysunkach, nie przytłacza, daje spokój i klimat kontemplacji. Nie mogło zabraknąć także rzeźb: zdeformowanych, postrzępionych, ale pełnych i wyrazistych. Dyrektor Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi, Ryszard Stamsławski (obecny na wernisażu) udo-



Fot. Waldemar Stępień

stępnił nie tylko eksponaty muzealne, lecz także prace pochodzące z jego prywatnej kolekcji. Żałować należy jednak, że nie znalazły się na tej wystawie prace pochodzące z ostatnich lat życia Aliny Szapocznikow. Starania organizatorów wystawy o sprawdzenie z Paryża od syna artystki ostatnich prac nie zostały, niestety, uwieńczone sukcesem.

Po wernisażu odbyło się przedstawienie „Zielnika” — jakby ciąg dalszy i dopełnienie wystawy poświęconej Alinie Szapocznikow.

Violetta Krasnowska

INFORMATOR  
KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr Lalki i Aktora:

29.03 występ gościnny w Tarnobrzegu: „Don Zan”, anonim czeski; reż. Tomasz Jaworski.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988”.

Muzeum Wincentego Pola — wystawa pt. „Amor Patriae Nostra Lex — z Siecina Krasiecy herbu Rogala” (czynna do 31.03).

Muzeum Wsi Lubelskiej (gościnnie w siedzibie „Desy” Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć”.

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa prac nagrodzonych w konkursie plastycznym

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa Zbigniewa Libery i Jerzego Truskowskiego (czynna do 31.03).

Galeria „Kont” (ul. Zana 11) — wystawa rysunku Roberta Lemke (czynna do 31.03). Związek Artystów Plastyków „Polska Sztuka Użytkowa” oraz Wydział Kultury i Sztuki (gościnnie w BWA ul. Grodzka 3) — wystawa konkursowa malarstwa i rzeźby.

Galeria „Nova” (ul. Grodzka 5) — wystawa prac Jacka Grzesiaka.

BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa malarstwa Jacka Wojciechowskiego.

Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa prac Aliny Szapocznikow.

Galeria PUSB (ul. Pogodna 36) — wystawa fotografii Piotra Powietrzyńskiego pt. „Kobieta z wydmi”.

WDK (sala wystawowa) — poplenerowa wystawa fotograficzna pt. „Borki”.

Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Zygmunta Bobołowicza.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Maciej Rataj” (czynna do 27.03).

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa ilustracji książkowej Janusza Towpika (czynna do 31.03).

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria „Es” — wystawa malarstwa i rysunku Grażyny Jezierskiej (czynna do 31.03).

W CHELMIE

WDK (kawiarnia) — pokonkursowa wystawa pisanek tradycyjnych i współczesnych oraz palm wielkanocnych. — wystawa malarstwa Jana Lejmiana.

W ZAMOŚCIU

Arsenal (ul. Zamkowa 2) — wystawa pt. „Pocztówka zamojska” (czynna do 31.03).

KONKURS LITERACKI  
DLA MŁODZIEŻY

Dom Kultury LSM zaprasza młodzież uczącą się i pracującą na Lubelszczyźnie do wzięcia udziału w dorocznym, piątym konkursie na debiut literacki.

Na konkurs należy nadesłać pięć wierszy lub opowiadań o dowolnej tematyce (do dziesięciu stron maszynopisu) — ewentualnie czytelny rękopis — w trzech egzemplarzach.

Każdy tekst trzeba opatrzyć godłem, zaś w zamkniętej kopercie przesłać informacje zawierające: godło, imię, nazwisko, wiek, adres zamieszkania, miejsce nauki lub pracy.

Prace nadsyłać można do 30.04.1989 r. pod adresem: Dom Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, 20-607 Lublin z dopiskiem „KONKURS LITERACKI”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju br. Autorom najlepszych prac przyznane będą nagrody pieniężne.

(w)

## OGŁOSZENIE

EKSPRESOWA instalacja anten.  
Pocztowa (pawilon 6).

6445/G-3

TV

## CZWARTEK — 23 MARCA

## Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj, pofrańsz.  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Osmiornica” (2) — serial krym. prod. wł.  
10.30 Domator: To się może przydać  
15.55 Program dnia, Dt — wiadomości  
16.00 Polonijne spotkania: Zakopane '89  
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz kino Kwanta: „Edisonowie” (9) — serial prod. ang.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Kultura i sztuka w wojsku — program publ.  
17.55 Telewizyjny film dok.: „Turki”; reż. Antoni Ciecchan  
18.20 Sonda: „Pośrodku drogi do nikąd”  
18.50 Dobranoc: Pająk Chwat, wszystkich brat  
19.00 10 minut  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Dt  
20.05 „Osmiornica” (2) — serial krym. prod. wł.  
21.10 Pegaz  
22.00 Wokół wielkiej sceny — mag. operowy  
22.50 Dt — echa dnia  
23.10 Język francuski (21)

## Program II

16.55 Język francuski (21)  
17.25 Program dnia  
17.30 Rodzice i dzieci  
18.00 Program lokalny  
18.30 Magazyn 102  
19.00 Muppet show, czyli rewią gwiazd: Florence Henderson  
19.30 Puls — program medyczny  
20.00 Kocham świat — Psychodrama Joanny Rawik  
20.50 Tryptyk o Męce Pańskiej  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio Teatralne Dwójki: Vercors: „Milczenie morza”; reż. i adapt. Jan Bratkowski  
22.40 — 22.45 Komentarz dnia

## PIĄTEK — 24 MARCA

## Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Dookoła świata... z Katarzyną Pospieszyską  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Dt — dodatek gospodarczy  
9.40 „Klepsydra” — film fab. prod. ZSRR  
16.05 Program dnia, Dt — wiadomości  
16.10 Radar — program wojskowy  
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Kajakiem w Himalaje — film dok.  
18.35 Przed programem: Ryszard Karczykowski  
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi  
19.00 10 minut  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 Dt  
20.05 Teatr TV: Leon Schiller — „Misterium Wielkanocne”  
21.30 Czas — mag. publ.  
22.00 Jutro w programie  
22.05 Ryszard Karczykowski śpiewa popularne arie operowe

22.50 Dt — echa dnia  
23.05 — 23.55 Ludzie przeciw sobie: „I wojna światowa 1914—1918” — film dok. prod. franc.

## Program II

17.25 Program dnia  
17.30 Czemu mnie wołasz? — wielkopostne śpiewanie Romana Kotłakowskiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Ludzie, o których się mówi  
18.50 Polska Kronika Filmowa  
19.00 „W labiryncie” (12): „Dzień Kobiet” — serial prod. pol.  
19.30 Listy Stanisławy Przybyszewskiej  
20.05 Festiwal Muzyki Krzysztofa Pendereckiego '88: „Pasja wg św. Łukasza. Soliści: J. Gadulanka, B. Possemeyer, J. Niziołek, A. Bordini. Orkiestra Filharmonii Krakowskiej, Chór Filharmonii Narodowej, Chór Chłopców Filharmonii Krakowskiej; dyr. Gilbert Levine. (Koncert odbył się 12.06.88 roku w kościele św. Katarzyny w Krakowie).  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Udręka i ekstaza” — film fab. prod. amerykańsko-włoskiej  
23.40 Komentarz dnia  
23.45 — 0.40 Nocne Polaków rozmowy

## SOBOTA — 25 MARCA

## Program I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim film ang. z serii „Fraggles”  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 Stare, nowe, najnowsze — mag. muz.  
11.20 Bo chętni wiedzieć przodków swych dzielności... — program publ.  
11.50 Telewizyjny koncert życzeń  
12.20 Telewizyjny Teatr Prozy: Anatol France — „Gospoda Pod Królową Gęsią Nóżką”  
14.40 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — Czerwony Kanion  
15.20 Program dnia  
15.25 „Pożegnania” — film fab. prod. pol.  
17.05 Losowanie Dużego Lotka  
17.15 Teleexpress  
17.30 Antena  
17.50 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty  
18.30 Butik — mag. Grażyny Szcześniak  
19.00 Dobranoc: Jeż Kleofas  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Nowe życie  
19.30 Dt  
20.05 „Podwodna odyseja” — film sensacyjny prod. kanadyjskiej  
21.45 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielnik  
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy  
22.15 Program muzyczny  
23.20 Dt — wiadomości  
23.25 Jutro w programie  
23.30 — 1.00 Kino sensacji: „Gniew aniołów” (1) — film fab. prod. USA

## Program II

11.55 Trzy godziny z Telewizją Katowice  
14.55 Powitanie  
15.00 Małe kino: Miasta świata: „Madryt, Madryt” — film dok. Mieczysława Siemińskiego  
15.30 „5 — 10 — 15” — program dla dzieci i młodzieży  
17.00 Marian Hemar: Wiersze i piosenki ze sceny Teatru Ateneum; reż. Wojciech Młynarski

## 18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 10 razy piosenka — reportaż z Przeglądu Piosenki Aktorskiej Wrocław '89  
19.30 Wielkanocne obrzędy  
20.00 Festiwal Muzyki Krzysztofa Pendereckiego '88: „Jutrznia I” i „Jutrznia II”. Program zrealizowany podczas koncertu festiwalowego w kościele św. Katarzyny w Krakowie  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Raj odłożony na później” (9): „Dęte frazesy” — serial obycz. prod. ang.  
22.35 Komentarz dnia  
22.40 „W labiryncie” (12) — serial TP (powt.)  
23.10 — 23.50 „Zanim” — śpiewa Grzegorz Turanu z Piwnicy „Pod Baranami”

## NIEDZIELA — 26 MARCA

## Program I

8.05 Program dnia  
8.10 Tydzień — wydanie świąteczne  
8.50 „Smok, którego nie było, a może był” — film anim. prod. holender.  
10.15 Świąteczny koncert życzeń  
11.15 Premiery Starego Kina: „Będzie lepiej” — film fab. prod. pol.  
12.55 Teatr Młodego Widza: Andrzej Maleszka — „Mechaniczna Magdalena” — cz. I  
13.50 „Bobek — czyli jedenaście wcieleń Bogumiła Kobieli” — film dok.  
15.10 „W kamiennym kręgu” — odc. 76, 77 (ostatni) serialu prod. brazył.  
17.15 Teleexpress  
17.35 Postscriptum: „W kamiennym kręgu”  
17.50 Marek Sierocki za prasa  
18.25 Smurfolandia — program rozrywkowy  
19.00 Wieczorynka: Smurfy  
19.30 Dt  
20.05 „Rzeka kłamstwa” (4) — serial TP  
21.30 „Serce pali się raz” — recital Zdzisławy Sośnickiej  
22.15 Sportowa niedziela  
22.35 Komentarz dnia  
22.45 „Gniew aniołów” (2 — ostatni) — film fab. prod. USA  
0.15 — 1.15 Superwizja

## Program II

9.45 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)  
10.20 Film dla niesłyszących: „Rzeka kłamstwa” (4) — serial TP  
11.45 „Konspiracja u króla Jana” — wojskowy program dok.  
12.15 Powitanie  
12.20 100 pytań do...  
13.10 Polacy — film dok.  
14.00 Kino familijne: „Podróż Natty Gunn” (1) — film fab. prod. USA  
14.50 Podróż w czasie i przestrzeni: „Powiązania” (6) — serial dok. prod. ang.  
15.40 Z batutą i z humorem — Warszawska Orkiestra Symfoniczna pod dyr. Macieja Niesiołowskiego  
16.25 Być tutaj... — gawęda prof. Wiktora Zina  
16.40 Kino-Okno — kalejdoskop filmowy. „Kawiarnie na Montparnasse” — film dok. prod. RFN  
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic  
19.30 Arie dawnych mistrzów. Wyk.: Jerzy Romaniuk — fortepian  
20.00 Studio Sport: Piłka w grze  
20.50 Zapraszam was do stołu — recital kompozytorski Henryka Albera  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Wichry wojny” (2) — serial prod. USA  
22.35 Panorama dnia

## 22.40 — 23.25 Musicale — program muzyczny

## PONIEDZIALEK — 27 MARCA

## Program I

8.45 Program dnia  
8.50 „20 000 mil podmorskiej żeglugi” — film przygod. prod. USA  
10.55 Świat cyrku  
11.55 „Antyfony do fraso-bliwego” — film dok. Zofii Haloty  
12.25 Teatr Młodego Widza: Andrzej Maleszka — „Mechaniczna Magdalena” cz. 2  
13.30 „Czas przebudzenia” — film dok.  
14.00 Z jałem w herbie  
14.25 „Kaskader” — „Miłośnicy ryzyka” — film dok. prod. franc.  
15.20 „Gwiezdne wojny” — film science fiction prod. USA; reż. George Lucas; wyk.: Mark Hamill, Harrison Ford, Alec Guinness  
17.15 Teleexpress  
17.30 Teatr Telewizji: Stanisław Baliński — „Polka prosto z kraju”; wyk.: Magdalena Zawadzka, Ewa Wiśniewska, Krystyna Sienkiewicz, Jan Matyjaskiewicz, Leonard Pietraszak, Piotr Machalica  
19.00 Wieczorynka: Smurfy  
19.30 Dt  
20.05 „Jeśli się zgodzi — nie powiem nie” — komedia prod. franc.  
21.40 Piwnica „Pod Baranami”  
22.35 San Remo '89  
23.35 Zakończenie programu

## Program II

11.30 Powitanie  
11.35 Kino Familijne: „Podróż Natty Gunn” cz. 2 (ostatnia) — film prod. USA  
12.25 Dlaczego nie? (1)  
12.50 Jubileusz Jana Pawła — rep.  
13.25 „Muppety jadą do Hollywood” — film prod. USA  
15.00 Dlaczego nie? (2)  
15.25 100 pytań do...  
16.05 „Płacy” — byłem przy tym (1) — film dok. Jarosława Kamińskiego o Marianie Podkowińskim  
16.45 Wielkanoc pod Krzyżem Południa — rep. Andrzeja Chiczewskiego  
17.00 Podróż po klawiaturze Andrzeja Sobieskiego  
17.30 Dlaczego nie? (3)  
18.30 Jarocin — rep. z festiwalu muzyki rockowej  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 Galeria 37 milionów — rzeźba roku  
20.00 Wiedeńskie melodie — spotkanie z Martą Eggerth  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Wyszy na Golfstromie” — film prod. USA wg powieści Ernesta Hemingway'a; reż. Franklin J. Scharfner; wyk.: George C. Scott, David Hemmings, Gilbert Roland i inni  
23.30 Komentarz dnia

## WTOREK — 28 MARCA

## Program I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Chcę schudnąć dla zdrowia i urdy  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Dt — dodatek gospodarczy  
9.40 „Evita Peron” (2) — film prod. USA  
11.10 Domator: Rady na życzenie  
16.00 Program dnia, Dt — wiadomości  
16.05 Gazeta rolnicza  
16.25 Dla dzieci: Tak-Tak  
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (26) — serial prod. austr.  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Adwokat z Old Bailey” (3): „Tajemnica państwowa” — serial krym. prod. ang.

## 18.30 Klinika Zdrowego Człowieka

18.50 Dobranoc: Śnieżowe skrzydła  
19.00 10 minut  
19.10 Gdyby zamrozić ceny — program publ.  
19.30 Dt  
20.05 „Evita Peron” (2 — ostatni) — film prod. USA  
21.40 Konferencja prasowa rzecznika rządu  
22.05 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „s”  
22.50 Dt — echa dnia  
23.10 Język angielski (21)

## Program II

16.55 Język angielski (21)  
17.25 Program dnia  
17.30 „Szokujące nowości. Uprogu sztuki współczesnej” — serial dok. prod. ang.  
18.00 Program lokalny  
18.30 „Apartheid” (3): „Podział 1965—1977” — film dok. prod. ang.  
19.30 Kolorowy zawrót głowy — mag. narciarski  
20.00 Non stop kolor — magazyn  
21.00 Studio Sport  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Dorastanie” (5): „1976—1977” — serial TP  
22.45 Komentarz dnia

## ŚRODA — 29 MARCA

## Program I

8.35 Domator: Nasza poczta: Szkoła dla rodziców  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Równanie z trzema niewiadomymi” (1) — film fab. prod. ZSRR  
10.30 Domator: Przyjemne z pożytecznym  
15.50 Program dnia, Dt — wiadomości  
15.55 Losowanie Express Lotka i Super Lotka  
16.05 W świecie ciszy — program dla niesłyszących  
16.25 Dla młodych widzów: Latający Holender — Klub Zdobyców Oceanów  
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spojrzenia — program o państwach socjalistycznych  
18.00 Z Polski rodem — magazyn spraw polonijnych  
18.20 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX w.  
18.50 Dobranoc: Plastikowy pamiętnik  
19.00 10 minut  
19.10 Program publicystyczny  
19.30 Dt  
20.05 „Werdykt” — dramat obycz. prod. francusko-włoskiej. Reż. Andre Cayatte. Wyk.: Sophia Loren, Jean Gabin  
21.40 Raport  
22.10 Telewizyjny informator wydawniczy  
22.30 Dt — echa dnia  
22.50 Język rosyjski (22)

## PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (22)  
17.25 Program dnia  
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II  
19.00 II Rzeczpospolita nieznana — Łódź  
20.00 Charles Dutoit, Janusz Olejniczak i orkiestra „Symfonia Varsovia”  
21.05 Program publicystyczny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „07 zgłoś się” (3) — „Scigany przez siebie samego” — serial krym. TP  
22.55 997 — kronika kryminalna  
23.55 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciulek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlużuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409. Zam. 408. 10.03.89. B-4.

## POLSKIE GOSPODARSTWO

### WYZNANIA PROSTEGO AMERYKANINA

Andrzej W. Pawluczuk

**P**OWIEDZIAŁ mi kiedyś pewien prosty Amerykanin, że gdyby kolchozy produkowały więcej żywności niż prywatne farmy, to oni w USA na pewno przeprowadziliby kolektywizację i upaństwowienie swego rolnictwa. Nawet jeśli nie jest to prawda, trzeba przyznać, że znakomicie oddaje amerykański sposób pojmowania gospodarki. Liczy się tylko efekt, wynik końcowy i zwycięża ten, kto osiąga wyniki najlepsze.

Zresztą odnosi się to nie tylko do działalności ściśle ekonomicznej. Tam wszystko, także polityka, nastawione jest na konkretny cel, który stanowi pomnażanie wspólnego, narodowego dobytku. Można nawet powiedzieć obrazowo, że polityka jest w Ameryce nie na pensji rządowej, ale na swoistym kontrakcie, który podpisuje ze swoimi wyborcami. Im lepiej prosperuje państwo, stan czy miasteczko, tym lepiej jest ono oceniane i łatwiej przechodzi w następnych wyborach. Pragmatyka i jeszcze raz pragmatyka. A dzięki niej Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są dzisiaj, według znawców, jedynym państwem na świecie, które potrafi samodzielnie rozwiązać każdy problem technologiczny i cywilizacyjny. W tej mierze i Europa Zachodnia i Japonia pozostają w tyle, dlatego dziękujemy Kolumbowi, że odkrył Amerykę.

Jaka zaś jest ta amerykańska droga do sukcesu? Parę tygodni temu telewizja uraczyła nas filmem, który jakoś umknął uwadze naszych znakomitych podglądaczy telewizyjnych. Mam na myśli trzydziestominutowy dokument o znanym producencie filmowym z Hollywoodu. Jak nakazuje poetyka tego rodzaju filmów, o głównym bohaterze opowiadali jego bliscy i dalsi współpracownicy: reżyserzy, scenarzyści, dyrektorzy produkcji, kamerzyści. Było to przeżycie niesłychanie stresujące przeciętnego Polaka, jako że ci

reżyserzy, scenarzyści i dyrektorzy produkcji to byli nierzadko chłopcy w wieku dwudziestu paru lat, regułą był wiek trzydziestoparoltni, a ktoś zbliżający się do czterdziestki był już wyjątkiem.

A więc tam stantuje się do życia we wczesnej młodości i każdy, kto ma głowę na karku, może osiągnąć wybitne sukcesy w swoim zawodzie jeszcze przed trzydziestką. A jeżeli zamiast głowy, na karku ma się zwykły, przeciętny łeb, to osiąga się chociażby normalną pozycję człowieka samodzielnego, który sam za siebie odpowiada. I po to, żeby młody człowiek miał w Ameryce dobry start życiowy, nie są potrzebne ani ustawy o młodzieży, ani komitety do spraw młodzieży, ani nawet „Kapitalistyczne Związki Młodzieży Amerykańskiej”, które miałyby wychowywać młodzież w duchu poszanowania dla kapitalizmu, miłości do kapitalistycznej walki klas i wolnej konkurencji. Nie! Tak jakos tam zrobiono, że wszystkie dziedziny życia regulują się same, że najlepszy zawsze wygrywa, bo jeżeli wygryza go w jednej firmie, to pójdzie do konkurencji, albo założy firmę własną.

Tymczasem u nas, w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, za młodzież „robą” faceci dobrze po trzydziestce, a jeżeli chodzi o rozdział deficytowych dóbr, to można być młodzieżą i po czterdziestce. A przecież mamy znakomite ustawy, znakomite regulacje prawne, wydziały, pełnomocników i organizacje, które nie robią nic innego, jak działają „po linii” i „na polu” młodzieży. Żeby było tej młodzieży lepiej, żeby miała lepszy start, żeby miała gdzie pracować, gdzie mieszkać i gdzie jeździć na wakacje.

Aby nie być gołosłownym: mamy uchwaloną przez Sejm w roku 1986 ustawę o młodzieży, mamy odpowiednie ministerstwo, czyli Komitet do Spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej, mamy rozdawnictwo pieniędzy czyli Państwo-

wy Fundusz Młodzieży i mamy, wreszcie, pełnomocników wojewodów ds. młodzieży, których zadanie polega na (przepisując z instrukcji) „koordynowaniu spraw związanych z realizacją polityki Państwa wobec młodzieży”. A czego nie mamy? Ha, nie mamy dwudziestoparoletnich reżyserów i menadżerów, dwudziestoparoletnich właścicieli dużych firm i redaktorów naczelnych poważnych gazet. Powiedzmy krótko: nie mamy zdrowej gospodarki; więcej: nie mamy ani jednego wycinka zdrowej gospodarki, gdyż przez całe czterdzieści parę lat ten system nie zgłaszał zapotrzebowania na ludzi preżnych, energicznych, myślących i przebojowych. Losy konstruktora znakomitego komputera, inż. Karpińskiego, którego system naszej gospodarki zmusił do hodowania świni, jest tak dobrze znany, że nie muszę podawać szczegółów. Najważniejsze jest co innego. I to „coś” jest w dalszym ciągu tą kulą u nogi, która ciągnie nas na dno.

Jest to ten specyficzny, jedyny w swoim rodzaju, archaiczny, nieeuropejski, właśnie „socjalistyczny” sposób myślenia o rozwiązywaniu problemów społecznych i cywilizacyjnych. Sposób, dodajmy, który się nie sprawdził w żadnym kraju i który należy czym prędzej wyrzucić na słynny „śmietnik historii”. Polega on na przekonaniu, że jeżeli wyda się akt prawny, uchwali uchwałę czy podejmie jakiegokolwiek inne manipulacje socjotechniczne, to problem zostanie rozwiązany. Tak i w tej mierze: i w ustawie sejmowej, i w statusie funkcjonowania Komitetu do Spraw Młodzieży, i w owej instrukcji, w której zaopatrzono pełnomocników o młodzieży powiada się jako o przedmiocie. Młodzież jest przedmiotem działania ze strony... państwa, urzędów itd.

I nikomu spośród demagogów socjalistycznej rzeczywistości, jak do tej pory nie przyszło do głowy, aby młodzież uczynić stroną. Tak, właśnie autonomiczną stroną procesów społecznych, gospodarczych i politycznych. Młodzież? Ale nie! Po prostu trzeba uczynić całe społeczeństwo autonomiczną stroną, a wówczas, kiedy wytworzą się mechanizmy naturalnej selekcji wartości problem młodzieży przestanie — jak w normalnych krajach istnieć. On rozwiąże się po prostu sam. A kto mi nie wierzy, niech pojedzie do Ameryki i porozmawia z prostym Amerykaninem.

## KTO JEST KIM W REGIONIE

**BARTMIŃSKI Jerzy.** Lat 49. Zonaty. Zona Izabella. Sześćcioro dzieci. Docent polonistyki. Człowiek jednego środowiska. W 1961 roku ukończył polonistykę w UMCS i tutaj pozostał. W 1980 roku poczuł się w pełni obywatelem i od tej pory stara się nim być.

Za sposób na życie uważa robienie tego, do czego czuje przekonanie, oraz polubienie tego, czego nie można robić. Ceni momenty „szaleństwa”, „kawalerskie szarże” w życiu społecznym, rodzinnym, zawodowym. Uważa, że szaleństwo można pogodzić z rozsądkiem. w myśl dewizy Kochanowskiego (poety szczególnie mu bliskiego): „Szalej, kiedy czas po temu”. Największą jego radością są dzieci. To podstawa nadziei na przyszłość. One mogą nauczyć dorosłych tradycyjnej, polskiej, ludowej „solidarności z życiem” (być w życiu, cieszyć się nim, przeżywać je w całej pełni).

**CHOCHOROWSKI Aleksander.** Lat 53. Zonaty. Zona Teresa. Trzech synów: Janusz, Waldemar, Józef. Sześć WUSW w Lublinie. Pułkownik. Pochodzi z gór, z okolic Gorlic. Absolwent Wydziału Prawa UJ w Krakowie. Pracę magisterską pisał na temat: „Rola związków zawodowych w kształtowaniu stosunków pracy”.

Jako człowiek z Pogorza za jedyny sposób na życie uważa uczciwą pracę. Ceni szczególnie: kompetencje, punktualność i solidność. Jest zwolennikiem różnicy zdań nie prowadzącej do nawiści. Brak tej umiejętności w polskiej kulturze politycznej kładzie na karb starego, szlachecko-pańszczyźnianego pieniactwa, które należy jak najszybciej wyeliminować. Lubi majsterkowanie. Maluje. Zawód nauczyciela, który kiedyś wykonywał, pomaga mu w pracy milicyjnej, pozwalając spoglądać na sprawy ogólne przez pryzmat człowieka.

**GRONOWSKI Stefan.** Lat 35. Zonaty. Zona Stanisława. Troje dzieci: Michał, Paweł i Joanna. Kierownik Radiowo-Telewizyjnego Centrum Nadawczego w Bożym Darze. Inżynier elektroniki. Absolwent Wydziału Elektroniki, Politechniki Warszawskiej (1980 rok). Pracował m. in. w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych oraz w Telewizyjnym Ośrodku Nadawczym w Lublinie.

Nie znosi lenistwa. Szczególnie ceni bezinteresowną pomoc człowieka dla człowieka. Za sposób na życie uważa uczciwość: uczciwą ocenę ludzkiego wysiłku, uczciwe podejście do problemów, uczciwą pracę za uczciwą pracę. Drażni go brak punktualności i bark kompetencji. Za szczególnie istotne uważa kształcenie nowych kadr młodych fachowców. Wykłada w Zespole Szkół Elektrycznych.

**KAZIMIERCZUK Zdzisław.** Lat 55. Zonaty. Zona Jadwiga. Dwie córki: Dorota i Magdalena. Dziennikarz. Redaktor naczelny „Tygodnika Zamojskiego”. Absolwent WSP w Krakowie i Studium Dziennikarstwa przy UW (1962). Pracował w „Sztandarze Ludu”, „Gazecie Białostockiej”, „Głosie Koszalińskim”, Polskim Radiu w Białymstoku, „Gazecie Współczesnej”. Od 1979 roku w „Tygodniku Zamojskim”.

Ma jeden sposób na życie: pracę. Brak mu czasu na kultywowanie specjalnego hobby.

## MORZE PIENIĘDZY I JESZCZE PÓŁ LITRA

Michał Zieliński

**T**O, że mój tekst „Czy pozostaną jedynie pieniądze?” wywołał pewne zainteresowanie, cieszy mnie i smuci. Cieszy, bo oznacza, iż ufrąłem w tzw. „społeczne zainteresowanie”. Smuci, bo wiele wskazuje, że — jeżeli nawet nie do końca życia, to na bardzo długo — skazany jestem na pisanie o wyścigu cen i płac.

A na kolejnym etapie tego wyścigu padły kolejne rekordy. W styczniu ceny wzrosły w stosunku do grudnia ubiegłego roku o 10,3 procenta. Dzieśięć procent nie wydaje się liczbą wielką. Przyczyniliśmy się już do znacznie większych. Dlatego trzeba wyjaśnić, że jeżeli ceny będą rosły co miesiąc w tym tempie, to na koniec roku 1989 będą wyższe niż w grudniu roku ubiegłego o 224,3 procenta (słownie: 224 kama trzy procent). Zgroza!

Przy innym sposobie liczenia, biorącym za podstawę przeciętne ceny roku ubiegłego, wskaźnik będzie niższy, bo przyrost cen wyniesie tylko około 125 procent, ale i tak będzie to rekord Polski (w 1982 roku ceny wzrosły o 102 proc.).

Nie wiem, czy tak być musi, czy też wyścig cen i płac uda się zatrzymać.

Na razie nic na to nie wskazuje. W styczniu bowiem wynagrodzenia nie były niższe niż w grudniu ubiegłego roku, a normalnie występująca prawidłowością (ze względu na wypłaty w grudniu premii rocznych) był ich dziesięcioprocentowy spadek. W tej sytuacji w styczniu utrzymała się nadwyżka piędznych przychodów nad wydatkami w wysokości czterystu miliardów złotych.

To, że na rynku coś czasem jeszcze można było kupić, w znacznej mierze stanowiło skutek znacznego powodzenia loterii „50 milionów”, zorganizowanej przez PKO. Ten cud się już jednak raczej nie powtórzy. Dlatego sądzę, że nadmiernym optymizmem technicznie niedawna wypowiedź prezesa PKO Mariana Krzaka, zachęcająca do oszczędzania w PKO, gdyż za rok można otrzymać 66 procent odsetek, a „przecież dolar na pewno nie podrożeje w tym stopniu, bo musiałby kosztować 5 tysięcy złotych”. Obawiam się, że większym realistą okaże się profesor Wilczyński, który w wypowiedzi dla tygodnika „Wprost” prognozował na koniec roku rynkowy kurs dolara w wysokości 10 tys. zł.

I jeszcze jedna sprawa. Najbardziej wyścigu „płace—ceny” obawiają się

pracownicy sfery budżetowej. Nie mają oni ani możliwości podnoszenia cen swoich usług, ani też specjalnych możliwości strajku. Dlatego kilka osób pytało mnie o podane procentowe wskaźniki wzrostu ich płac. Wyjaśniam, że podany dla sfery budżetowej przyrost płac o 27 procent pochodził z uchwalonego 5 stycznia br. Centralnego Planu Roczego. Na początku lutego, czyli miesiąc później, Sejm uchwalił ustawę o kształtowaniu środków na wynagrodzenia w sferze budżetowej. Dokument ten, chyba nieco na wyrost określony przez wielu komentatorów jako „akt dziejowej sprawiedliwości” (tytuł artykułu Barbary Brach w „Życiu Gospodarczym” z 12 lutego br.), przewiduje ukształtowanie się płac w tej sferze na poziomie 106 procent średniej krajowej, ale dopiero w 1992 roku. Na razie, czyli w roku bieżącym, wskaźnik ten ma wynieść 90 procent. Dla oświaty i ochrony zdrowia ma być nieco wyższy (odpowiednio 101 i 95 procent).

Nie cieszy się tym zbytnio, gdyż życie nauczyło mnie darzyć piękne plany umiarkowanym jedynie zaufaniem. Na razie — średnio za cały rok 1988 — płace w sferze budżetowej wynoszą 80 procent tego, co zarabia się w „produkcji”. A jak będzie w 1989 r. — zobaczymy.

## W NUMERZE 11. OPUBLIKUJEMY:

- „NA PODOLE...” ● SAMOBOJSTWO W DEBLINIE ● WIELKA AKTORKA Z PUŁAW ● TRZECH Z SZARYCH SZEREGÓW
- TWÓJ SYN MORDERCĄ ● O KPP — INACZEJ ● LWÓW — NASZA OJCZYZNA ● OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC
- ITALII ● JAKA POLSKA — JAKA WŁADZA? ● FELIETONY ● PROGRAM TV